Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa nr 1 w Lęborku oraz

Szkoła Podstawowa w Przerytem

Autor: Artur Kamieniecki

Tytuł: O tym jak dąb dostał imię Arkadiusz

Stoimy razem. Równo w rządku poustawiane doniczki. Pan w zielonym mundurze wystawia moje kolejne siostry i braci z dużego samochodu. Wśród nich ja - mały, chudy, wiotki, a przede wszystkim bardzo wystraszony.

Wczoraj zabrali mnie od mamy. Ona mówiła, że tak będzie. Do tej pory rosłem sobie spokojnie, otoczony jej ramionami, jak parasolem. Ona chroniła mnie od wiatru, rzęsistego deszczu, promieni słońca, a raz nawet uratowała mnie przed zdeptaniem. Było to jesienią. Jakiś chłopak szedł przez las, niósł koszyk z grzybami i omal na mnie nie stanął, ale mama rzuciła w niego żołędziem. Udało się! Ten chłopiec miał jasne, kręcone włosy. Zapamiętałem go, mało ludzi widziałem w dzieciństwie. Chłopak schylił się, podniósł żołądź, a mnie pogłaskał po patykowatym ciele. Pomyślałem, że ludzie nie mogą być tacy źli, jak przestrzegała mnie mama.

Na placu zbiera się tłum. Wszyscy noszą paczki gazet powiązane sznurkami, wrzucają je do kontenera. W zamian za oddany papier otrzymują sadzonki. Mną nikt się nie interesuje. Może uda mi się wrócić do mamy? Wtedy go zobaczyłem. Niósł wielką paczkę makulatury, ledwo dźwigał, jakiś pan pomógł mu ją włożyć do samochodu. On nie poszedł po sadzonki kwiatów, podszedł do nas. Dotykał moje siostry ubrane w kłujące, zielone sukienki, ale wybrał mnie. Poznałem go, to ten sam chłopak z jasnymi, kręconymi włosami. Już się nie bałem, on nie zrobi mi krzywdy!

Artur posadził mnie nieopodal własnego domu, w zakolu rzeki Łeby na żyznej glebie Błękitnej Krainy. Wiem, że wyrosnę, będę wielki i silny, ramionami będę obejmował skrawek nieba. Będę patrzył na moje miasto z wysoka, moje korzenie wrosną w lęborską ziemię. Jestem szczęśliwy. Jestem dębem szypułkowym. Jeśli los będzie dla mnie łaskawy, to może przeżyję i 1000 lat.

* * *

- Artur, no, jedziemy?
- Arek, czekaj jeszcze tylko poprawię plecak.

Droga nad morze mijała nam szybko, niedawno zbudowana ścieżka rowerowa znacznie ułatwiła wycieczkę do Łeby. Po drodze zmieniliśmy plany, zjechaliśmy w stronę Ulini. Tam w cieniu wielkich dębów, wycieńczeni jazdą, postanowiliśmy odpocząć. Zmęczony podszedłem do wielkiego drzewa, dotknąłem dłońmi jego szorstkiej kory, w głowie mi się zakotłowało, świat zawirował, drzewo zaszumiało... i zobaczyłem chłopca. Mały obdartus, może pięcioletni, biegał po lesie, zbierał żołędzie, wspinał się na drzewa. Był dziwnie ubrany, jak nie z tej epoki. Biegał boso, a była już jesień. Na gałęzi dębu, schowany wśród liści, tkwił ukryty domek - parę desek, jakaś szmata, ludzik z patyków, zrozumiałem - to jego królestwo. Mały śpiewał radośnie:

- Arkadiusz, Mości Panie stawi się na twe wezwanie. Arkadiusz, rycerzem zostanie!

Z oddali zbliżał się odgłos kopyt końskich, oddział zbrojnych podjeżdżał powoli. Zobaczyłem migające białe płaszcze z czarnymi krzyżami. Przodem pędzili wieśniaków ubranych w białe, lniane, zgrzebne koszule, szare nogawice, kapcie z łyka. Ludzie przerażeni, potykali się o nierówności drogi. To oddział zaciężnych dowodzony przez Kaspra Nostitza i Fritza von Ravenecka wziął jeńców z Ulini.

- Królu Kazimierzu... - mały zamilkł.

Jego jasna postać wyraźnie odcinała się od zieleni lasu. Zobaczyli go i Krzyżacy. Kasper Nostitz puścił się cwałem między drzewa. Mały zaczął uciekać. Biegł ile sił, jego białe stopy błyskały w powietrzu, ale koń biegł szybciej. Dokąd on biegnie? Biegł do dębu, do swojego ukrytego domku. Czy myślał, że drzewo go ochroni?

Oddział zbrojnych stanął przy drodze, śmiejąc się z uciekającego malca. Stanęli i wieśniacy wpatrzeni z przerażeniem w ostatnie chwile chłopca. Zaległa grobowa cisza, śmiech Ravenecka odbijał się echem od pni drzew. Kasper Nostitz podniósł miecz, by ugodzić śmiertelnie chłopca.
Dąb spod Ulini krzyczał. Słyszałem jego krzyk, ale z pnia nie wydobył się żaden dźwięk. Chciał biec, ale jego korzenie tak mocno tkwiły w ziemi, że nie wykonał żadnego ruchu. Łkał, żywica płynęła kroplami z jego pnia. Nagle bezradne drzewo spięło się w sobie z całych sił, zadrżało i jego prawe ramię runęło na odsłoniętą głowę Nostitza. Krzyżak padł na ziemię bez życia, malec tulił się do pnia dębu. Śmiech Ravenecka zamarł, dwóch braci zakonnych wciągnęło na konia nieprzytomnego towarzysza.
- Mówiłem, że to ciągle poganie, co czczą drzewa w świętych gajach! Zostawmy ich, bo jeszcze jakieś nieszczęście nam się przydarzy.
Kasper Nostitz żył, widziałem jak oddychał. Krzyżacy odjechali w popłochu, zostawiając jeńców i małego obdartusa, chowającego się za drzewem. Chłop w białej koszuli podszedł do drzewa, ukląkł przed nim.
- Dzięki ci Boże, za ocalenie mojego syna Arkadiusza.
- Dzięki ci dębie, że zechciałeś stać się narzędziem Pana.
- Od dnia pańskiego 18 września 1460r. będziesz nosił imię dąb Arkadiusz.

* * *

- Artur, co z tobą, śpisz?! - Arek szarpał mnie za ramię. Zerwałem się na równe nogi. Rozglądałem na boki z przerażeniem, szukając oddziału braci zakonnych, małego chłopca, jeńców, ale tylko dąb delikatnie szeleścił liśćmi.
- Czemu tak zbladłeś! Boli cię coś!
- Nie - mruknąłem.
- Wiesz, ten dąb nad moją głową nazywa się Arkadiusz, jak ty!
- Co ty pleciesz, takie bzdury - wrzasnął kolega i całą mocą kopnął w wielki pień.
Dąb Arkadiusz załopotał gałązkami i zrzucił na głowę kolegi żołądź.
- Co tu się u diabła dzieje? - krzyczał trzymając się za ucho - Wracamy.
Droga powrotna minęła nam w milczeniu. Nie miałem ochoty opowiadać Arkowi o tym, co widziałem. W domu sprawdziłem w Internecie: w miejscowości Ulinia rośnie pomnik przyrody - okazały dąb szypułkowy Arkadiusz.
Następnego dnia opowiedziałem moją historię mamie. Ta, z troską w oczach, po chwili zastanowienia, odparła:
- Z medycznego punktu widzenia jest to całkiem możliwe. Na jazdę rowerem zużyłeś cały zapas glukozy w organizmie, a mózg w hipoglikemii potrafi tworzyć różne wizje i obrazy. Za dużo tej historii, Artur!
Po południu pobiegłem nad zakole Łeby do mojego dębu, który był dopiero małym patyczkiem. Pogłaskałem go delikatnie. Dziwnie zadrżał. Może on też kiedyś będzie tak wielki jak ten z Ulini, może wrośnie korzeniami w mały skrawek lęborskiej ziemi i będzie czuwał jak król puszczy, nad dziejami Błękitnej Krainy.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa nr 3 w Lęborku oraz

Szkoła Podstawowa w Redkowicach

Autor: Dawid Cyganowski

Tytuł: Legenda o Księstwie Łeba

Urodziłem się w małej osadzie na mierzei między Morzem Bałtyckim a jeziorem Łebsko. Osada nazywała się Łeba. Ojciec mój był rybakiem, matka zajmowała się domem i pomagała ojcu sprzedawać ryby na pobliskim targu.

Chodziłem do szkoły wraz z moimi najlepszymi przyjaciółmi - Olkiem i Jackiem. Lubiłem się uczyć, ale bardziej lubiłem spotkania z kolegami po zajęciach. Ulubionym miejscem naszych spotkań były ruiny kościoła świętego Mikołaja. Kościół został zniszczony przez liczne sztormy, teraz został jedynie jego fragment.

Pewnej soboty, bardzo wcześnie rano, popłynąłem z ojcem zebrać sieci, które nastawiliśmy poprzedniego dnia. Podczas wyciągania sieci zobaczyłem w jednej z nich zaplątaną butelkę. Otworzyłem ją i w środku znalazłem kartkę. Po wyjęciu okazało się, że to mapa, na której zaznaczone były różne miejsca, a szlak kończył się w Lęborku. Mapę pokazałem ojcu, ale on również był zaskoczony. Nic nie wiedział o mapie i miejscach na niej zaznaczonych, ale poradził mi, żebym skonsultował się z najmądrzejszym człowiekiem w Łebie. Po powrocie z rejsu od razu pobiegłem do starego rybaka zwanego Pan Encyklopedia. Nazywano go tak, ponieważ wszystko wiedział, a kiedyś był nauczycielem mojego taty.

- Dobri dzeń ! - przywitałem się.
- Dobri dzeń ! Co cię do mnie sprowadza? - zapytał Pan Encyklopedia.
- Proszę pana, co pan wie o tej mapie? - zagadnąłem i pokazałem mu mapę.
- Chłopcze, to bardzo stara mapa i prowadzi do skarbu... skarbu Lęborka - wyjaśnił.
- Skarbu Lęborka? - powiedziałem z niedowierzeniem.
- Tak. To bardzo stary skarb. Sam go przez 10 lat szukałem - powiedział zamyślony. - I jeszcze jedno, chłopcze, podobno skarb ukryty jest w piwnicach lęborskiego ratusza.
- Wióldżi Bóg zapłać - powiedziałem i pobiegłem z mapą do domku na drzewie, gdzie czekali na mnie Olek i Jacek.
- No jesteś już Radku - powiedział Olek.
- Co tam trzymasz? - zapytał zaciekawiony Jacek.
- Panowie, oto mapa prowadząca do skarbu Lęborka - powiedziałem wyniośle.
- Co??? - zapytali jednocześnie.
- Encyklopedia powiedział mi, że ten skarb leży w piwnicach ratusza - wyjaśniłem.
- Mi też dziadek opowiadał o tym skarbie. Mówił, że w skrzyni jest złoto, diamenty i rubiny - powiedział Jacek.
- A ja słyszałem, że trzeba znaleźć trzy klucze, w trzech miejscach w Lęborku. Dzięki nim można otworzyć skrzynię - dodał Olek bardzo zadowolony.
- Ciekawe, jakie to miejsca? - pomyślałem.

Zdecydowaliśmy udać się ponownie do Pana Encyklopedii i dowiedzieć się czegoś więcej na temat skarbu.

- To znowu ty. Co tym razem? - zapytał.
- My w sprawie skarbu i kluczy do skrzynki - wyjaśniłem.
- To nie klucze, tylko kluczki. Pierwszy z nich znajduje się w Baszcie Kwadratowej. Drugi kluczek jest na dnie fontanny z żabkami, a ostatni w Kościele świętego Jakuba - objaśnił Encyklopedia.
- Jeżeli zdecydujecie się na wyprawę po skarb, to pamiętajcie, że trzeba zabrać dużo jedzenia, picia, mapę, koce i najlepiej to jeszcze trochę pieniędzy - poinformował nas Encyklopedia.

Po rozmowie z Panem Encyklopedią pobiegliśmy do domku na drzewie i planowaliśmy sobie, co będziemy robić dalej.
Następnego dnia obudził mnie krzyk Jacka. Zerwałem się z łóżka i wyjrzałem przez okno. Jacek napełniał butelki wodą, Olek zbierał jagody, jabłka i truskawki. Wyszedłem przed dom i zapytałem:
- Panowie, co wy wyprawiacie?
- Przecież idziemy po skarb - odpowiedział Olek.
- Zbieramy zapasy - dodał Jacek.
- Dobrze, a ile już tego mamy? - zapytałem.
- Trzy litry wody, bochenek chleba i owoce - wymieniał Jacek.
- Wody musimy mieć dużo. Napełnijmy jeszcze jedną butelkę - powiedział Olek, wyciągnął butelkę z plecaka, podszedł do studni i napełnił butelkę wodą.
- Jedzenie mamy. Teraz tylko koce i pieniądze - powiedział Jacek.
- No dobrze. Załatwcie koce, a ja pieniądze - dodałem i każdy z nas poszedł w swoją stronę.
Po godzinie spotkaliśmy się przy kutrze mojego ojca. Powiedziałem rodzicom, że wyruszam na wyprawę. Mama próbowała mnie zatrzymać, a tata dał mi na drogę pieniądze oraz wędzone dorsze i śledzie.
- Chłopaki mam tylko 20 złotych - powiedziałem.
- Może być - rzekł Jacek i dodał - My mamy trzy ciepłe koce.
- Mamy wszystko, czas ruszać - oznajmił Olek.
Spakowaliśmy jedzenie do dwóch plecaków, mapę, koce i pieniądze do trzeciego. Poszliśmy do Pana Encyklopedii, aby dał nam jeszcze jakieś wskazówki.
- Dasz nam jeszcze jakieś wskazówki? - zapytał Olek.
- Chłopcy jesteście już gotowi. Wszystko, co wiedziałem już powiedziałem. Ale mam coś, co może się przydać. Założył mi na szyję rzemyk z nietypową muszlą, której nigdy wcześniej nie widziałem i dodał - To jest muszla Świętego Jakuba, która poprowadzi was do celu. - Wszetczegó belnegó, do uzdrzenió.
- Bóg zapłać - powiedzieliśmy razem i ruszyliśmy.
Ruszyliśmy. Szliśmy wzdłuż kanału portowego, po drodze mijaliśmy stare chaty rybackie, przed którymi rybacy klarowali siatki. Jednym z pracujących rybaków okazał się wujek Olka Edward, który właśnie szykował się do wypłynięcia. Wuj pozdrowił nas z daleka, machając ręką.
- Dokąd idziecie chłopcy? - zapytał.
- Idziemy po skarb - odparliśmy i opowiedzieliśmy mu historię mapy znalezionej w butelce. Wujek Olka wysłuchał naszej opowieści, ale chyba nam nie uwierzył, bo na jego twarzy widziałem uśmiech. Mimo to zaproponował nam pomoc. Zaprosił nas na swoją łódkę i popłynęliśmy w kierunku jeziora Sarbsko. Przepływaliśmy przez gęste trzcinowiska, w których różne gatunki ptaków budowały gniazda. Po pewnym czasie wypłynęliśmy na jezioro, a naszym oczom ukazał się piękny pałac, którego wieża wystawała ponad lasem.
- Panie Edwardzie, co to za miejsce? - zapytał zaciekawiony Jacek.
Pan Edward uśmiechnął się pod nosem i zaczął opowiadać.

Żył tam sobie gdzieś przed laty, starzec skąpy i bogaty.
Nie chciał ludziom nieść pomocy, nie pożyczał węgla, kocy.
Nie nakarmiłby głodnego, nie napoił spragnionego.
Wszystkich gonił równo z chaty, taki bogacz chamowaty.
Zamiast pomóc sąsiadowi, to „ci nie” prosto w twarz powie.
Na okrągło się wygrażał i „ci nie”, „ci nie” powtarzał.
A po śmierci sknery, jakiś młodzik się pojawił.
To był syn wredoty, następcą się sprawił.

Nowa bieda idzie, ludziska gadali.
Ksywę „nowe ci nie” mu chłopy nadali.
Tuziemcy myśleli, że ów synuś,
nowy pan na własnym dworze.
Ojciec świniowaty, to i syn świnia.
Zamiast pomóc, to „ci nie” powie.
Lecz „nowe ci nie” był miły dla ludzi,
Pomagał im w życiu, skąpstwa się brzydził.
I tak „ci nie” już nigdy nie wybraniało,
a wioskę od ksywy Nowęcinem zwano.

Po tej opowieści dobiliśmy do brzegu. Wujek Olka życzył nam szczęścia i popłynął dalej, a my poszliśmy obejrzeć pałac. Obeszliśmy go dookoła kilka razy, ale nikogo tam nie spotkaliśmy. Ale z pobliskiej stadniny dochodziły nas jakieś odgłosy. Okazało się, że w stajni był jeden koń. Zdziwiło nas to i już chcieliśmy wychodzić, gdy nagle usłyszeliśmy głos:

- Pomóżcie mi chłopcy...

Stanęliśmy jak wryci. Ponownie usłyszeliśmy głos i zauważyliśmy, że to koń do nas przemawia.

- Czekałem na was bardzo długo. Zostałem sam, weźcie mnie ze sobą.

Postanowiliśmy mu pomóc, wzięliśmy go i ruszyliśmy dalej. Po drodze koń Zbyszek opowiedział nam o straszliwej chorobie, która dotknęła wszystkich mieszkańców.

- Część z nich zdążyła uciec zabierając swój dobytek, ale moi właściciele umarli i musiałem sobie radzić sam do momentu, kiedy mnie znaleźliście.

Byliśmy już daleko za Nowęcinem, gdy na jednym z drzew zobaczyliśmy znajomy znak. Była to muszla, którą miałem na szyi. Wiedzieliśmy, że wybraliśmy dobrą drogę. Po trzech godzinach marszu byliśmy głodni. Jacek wyjął bochenek chleba i rozdzielił go na cztery części. Po zjedzeniu i odpoczynku ruszyliśmy dalej. Zaczęło robić się ciemno, więc szukaliśmy schronienia. Znaleźliśmy gruby, duży dąb. Rozpaliliśmy ognisko, zjedliśmy, napiliśmy się i poszliśmy spać.

Nazajutrz obudził mnie Olek.

- Radek, wstawaj, nie ma Jacka!

Zerwałem się na równe nogi i zacząłem nawoływać Jacka. Z oddali usłyszałem odpowiedź. Po chwili z krzaków wyłonił się Jacek.

- Nie uwierzycie mi. Nie mogłem spać i usłyszałem lamenty dębu, pod którym spaliście. Użalał się nad swoim losem i poprosił mnie o pomoc.

- Co możemy dla niego zrobić? - zapytałem.

- To nie jest zwykły dąb, w nim chłopca Arkadiusza wiedźma zamknęła w drzewie - wyjaśnił.

- Za co go tam zamknęła? - zapytał Olek.

- Arkadiusz był jej nieposłuszny. Aby go uwolnić, musimy do dziupli wrzucić złotą monetę - powiedział Jacek.

Zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy się, pożegnaliśmy z Arkadiuszem i ruszyliśmy dalej. Dotarliśmy do Wicka i zobaczyliśmy piękne, zielone wzgórze.

- Tu odpoczniemy - powiedział Olek.

- A dlaczego tu? - zapytał przestraszonym głosem Jacek.

- Bo jesteśmy zmęczeni i musimy odpocząć - mruknął Olek.

- Ale tu są wiedźmy! - powiedział Jacek.

- Jacku, wiedźmy nie istnieją - zaśmiałem się.

Położyliśmy się na polanie, gdzie stał wielki kamień, na którym był znak krzyża i ślad stopy. Nagle coś zaszumiało w krzakach. Jacek obudził się i przeraźliwie krzycząc obudził nas wszystkich.

- Widziałem ją, tam w krzakach - krzyczał przerażony.
- Kogo? Kogo? - pytaliśmy.
- Cza… cza… czarownicę - jąkał się Jacek. Miała wielki kapelusz i długie siwe włosy - wyjaśniał dalej.
- Tak, i pewnie krogulczy nos? - dodał z ironią Olek.
Nagle zrobiło się ciemno, a nad naszymi głowami przeleciała czarna postać na miotle.
- Kto ośmiela się przebywać na moim terenie? - zapytała. - To wzgórze należy do nas.
Byliśmy bardzo przerażeni i nie odzywaliśmy się.
- Wynoście się stąd, bo pożałujecie!
Nic nie mówiąc uciekliśmy. Wychodząc z Wicka doszliśmy do rozwidlenia dróg. Zastanawialiśmy się, która droga prowadzi do Lęborka. Po chwili koń Zbyszek znalazł na drzewie znak muszli. Znaczyło to, że znowu jesteśmy na jakubowym szlaku. Nagle na naszej drodze stanęła jakaś dziwna postać. Był to pielgrzym, który szedł do sanktuarium świętego Jakuba Apostoła w Lęborku. Postanowiliśmy towarzyszyć mu w dalszej drodze. Pielgrzym opowiadał nam o swoich wędrówkach, a my o swoich przygodach. Zaproponował nam pomoc przy szukaniu kluczka w kościele.
Pod Lębork dotarliśmy nocą. Miasto położone było w dolinie. Z daleka nocne światła w domach wyglądały jak żar ogniska. Zobaczyliśmy mury. To były mury otaczające Lębork. Byliśmy blisko celu. Jednak nie wiedzieliśmy, jak dostać się do miasta, gdyż bramy były zamknięte.
- Już wiem - powiedział zadowolonym głosem Olek i ciągnął dalej. Jutro jest sobota, dzień targowy. Do miasta zjeżdżać się będą kupcy ze wszystkich stron. Musimy wjechać z kupcami.
Rano okazało się, że pielgrzym i koń zniknęli, ale nie mieliśmy czasu, by ich szukać, bo do miasta zbliżali się kupcy. Podbiegliśmy do jednego z powozów i ukryliśmy się w nim. W ten to sposób znaleźliśmy się w centrum targowiska. Wyskoczyliśmy z powozu i rozejrzeliśmy się po okolicy. Na targowisku można było kupić wszystko. Były stoiska z warzywami i owocami, z rybami, miodem i z przedmiotami codziennego użytku. Można było też kupić zwierzęta hodowlane i wszystko, co można sobie wyobrazić.
Po wyjściu z rynku stała piękna fontanna, a na niej osiem żab tryskających wodą. Było to jedno z miejsc, o których mówił Pan Encyklopedia. Nie mogliśmy od razu wyjąć kluczka, gdyż przy fontannie kręciło się mnóstwo ludzi.
- Poczekajmy do zachodu słońca - radził Jacek.
Po zachodzie słońca ulice były puste i bez wahania wskoczyliśmy do fontanny. Woda była zimna, a na dnie leżał kluczek, tak, jak mówił Encyklopedia. Po wyjęciu go z wody zastanawialiśmy się, gdzie spędzimy noc. Zobaczyliśmy stary powóz kupców i uznaliśmy, że to dobre miejsce. Okryliśmy się kocami i zasnęliśmy.
Następnego dnia po śniadaniu poszliśmy po kluczek do Baszty Kwadratowej. Na miejscu okazało się, że drzwi do baszty są zamknięte, więc obeszliśmy ją dookoła. Zauważyłem, że w baszcie jest uchylone okno. Wspięliśmy się po murze i wskoczyliśmy do środka. Długo szukaliśmy kluczka. Straciliśmy już nadzieję na jego znalezienie, nagle gdy oparłem się o ścianę, a jedna z cegieł poruszyła się i wypadła. W otworze znaleźliśmy drugi kluczek.
Po znalezieniu kluczka poczuliśmy wielki głód i udaliśmy się na obiad do Karczmy Rycerskiej. Zamówiliśmy pulki i śledzie w śmietanie. Po obiedzie spotkaliśmy pielgrzyma. Zaprowadził nas do kościoła, gdzie uczestniczyliśmy we mszy świętej. Po mszy pielgrzym powiedział nam, że wie, gdzie znajduje się kluczek. Pokazał nam rzeźbę świętego Huberta - patrona myśliwych i odszedł. Kluczek znaleźliśmy w podstawie rzeźby. Zadowoleni pomodliliśmy się i wróciliśmy do fontanny z żabkami. Postanowiłem kupić cukierki i sok, żeby świętować znalezienie wszystkich trzech kluczków. Po biesiadzie pod żabkami ruszyliśmy w kierunku ratusza. Na miejscu cicho wkradliśmy się do piwnic ratusza. Korytarze piwnic ratusza przypominały labirynt. Długo błądziliśmy, gdy nagle stanęliśmy przed wielkimi, metalowymi drzwiami. Na jednym ze skrzydeł był lew, a na

drugim muszla świętego Jakuba. Po środku drzwi był otwór w kształcie muszli. Zdjąłem więc swoją muszlę z szyi i włożyłem w otwór.
W tym momencie drzwi otworzyły się, a my weszliśmy do środka. Wewnątrz paliły się pochodnie oświetlając drogę do wielkiego sejfu ze skarbem. Niestety, aby otworzyć sejf, trzeba było rozwiązać zagadkę, której treść wyryta była na drzwiach. „Co jest długie, męczące, lecz niezwykłe?
Zastanawialiśmy się strasznie długo, aż w końcu krzyknąłem:
- Wiem! To przygoda!!!
Włożyliśmy kluczki do trzech otworów, przekręciliśmy je i razem krzyknęliśmy głośno - Przygoda!!!
Sejf otworzył się. Blask złota, diamentów, szmaragdów i kryształów oślepił nas.
Poszedłem z Jackiem do burmistrza, aby powiedzieć mu o skarbie. Burmistrz pogratulował nam znaleziska i powiedział, że skarb jest nasz. Zapakowaliśmy więc go na wóz, który pociągnął koń Zbyszek. Pożegnaliśmy się z burmistrzem i pielgrzymem i ruszyliśmy do domu.
W drodze powrotnej mijaliśmy wszystkie znane nam miejsca. Dotarliśmy do Ulini do dębu Arkadiusza.
- Zbyszku, zatrzymaj się! Pamiętasz, obiecałem Arkadiuszowi, że mu pomogę - powiedział Jacek.
Zeskoczył z wozu i pobiegł do dębu. Do dziupli wrzucił złotą monetę i uwolniliśmy chłopca.
Po kilku godzinach dotarliśmy do Łeby. Czekali tam na nas wszyscy. Powitali nas ogromnymi brawami i głośnymi okrzykami. Pokazaliśmy im nasz skarb i obiecaliśmy, że za niego zbudujemy Łebę wielką i bogatą.
Potem wyprawiliśmy wielką ucztę, na której wszyscy jedli, pili i bawili się, ciesząc się z naszego powrotu.
Zostałem okrzyknięty księciem Łeby, a dzień ten uznany został Dniem Łeby, obchodzonym co roku.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa nr 4 w Lęborku oraz

Zespół Szkolno-Przedszkolny w Siemirowicach

Autor: Weronika Romanowska

Tytuł: Legenda o cewickiej kuźni i złotej podkowie

Dawno, dawno temu w pobliżu Lęborka znajdowała się niewielka wioska Cewice. Położona była wśród przepięknych lasów i kwiecistych łąk. Nad jeziorkami w jej pobliżu fruwały stada dzikich kaczek i szarych gęsi. Sarny i jelenie pasły się na zielonych polanach.

W wiosce stało kilka drewnianych chatek. W jednej z nich mieszkał ubogi Tycjan. Był wdowcem i sam wychowywał czternastoletnią córkę Elenę. Dziewczyna bardzo dbała o swojego ojca. Gotowała obiady i sprzątała małe izdebki. Dbała też o zwierzęta. Pasła łaciatą krowę Gizelę, która dawała im pożywne mleko. W niedużej obórce trzymali dwie małe owieczki - Jowitę i Felicję. Całego gospodarstwa pilnował pies Tytus.

Obok domu mieściła się stara kuźnia. To tutaj ojciec Eleny pracował od świtu do nocy. Całymi dniami w gorącym piecu wypalał podkowy dla koni, grace, motyki. Potrafił wykuć kosę, sierp, przyrząd do mierzenia długości obręczy kół. Przed kuźnią w małym bajorku chłodził rozżarzone w piecu metalowe przedmioty. Był kowalem znanym w Cewicach i okolicznych miejscowościach.

Pewnego razu przejeżdżał przez wioskę bogaty niemiecki magnat Paul Klaustuber. Jego przepiękny złocony dyliżans ciągnęły cztery kare konie. Każdy z nich miał lśniącą grzywę i długi mocny ogon. Jeden z koni, tuż pod Lęborkiem, zgubił podkowy, co znacznie utrudniało jazdę. Magnat zmartwił się bardzo, bo do Berlina, do którego zmierzał była długa droga.

Kiedy zbliżał się do Cewic, ujrzał spacerującą młodą dziewczynę. Dobrze znał język polski, więc bez wahania otworzył drzwi swojego powozu, wyszedł i zapytał:

- Witam cię młoda damo! Nie wiesz, gdzie znajdę kowala? Mój koń Damazy zgubił cztery podkowy .

- Postaram się panu pomóc - rzekła uprzejmie Elena. - Myślę, że trafił pan pod dobry adres, bo właśnie mój tato jest kowalem.

- Znakomicie! Czy daleko mieszka twój ojciec?- ponownie zapytał nieznajomy.

- Nie! To zaraz za tym małym drewnianym mostem - odpowiedziała. Paul Klaustuber podziękował dziewczynie za pomoc i podążył w kierunku kuźni Tycjana.

Gdy Elena dotarła do domu, ojciec w pocie czoła wypalał kolejne metalowe podkowy. Każdą z nich skrupulatnie przyczepiał do kopyt konia Damazego. Potem sprawdził podkowy u pozostałych koni. Wszystkie były całe i mocno przytwierdzone do kopyt.

Paul Klaustuber serdecznie podziękował za pomoc i wręczył zmęczonemu już Tycjanowi sporą sakiewkę dukatów.

-To na szczęście! - rzekł magnat. - Niech wam się dobrze wiedzie! Może jeszcze tu wrócę...

Uczciwy kowal zaproponował, aby konie ochłodziły się przed daleką podróżą. Woźnica odczepił wszystkie i skierował do bajorka. Wszystkie cztery konie ochoczo wskoczyły do wody i wypluskały się. Zadowolony pan ponownie podziękował Tycjanowi i odjechał.

Następnego ranka, kiedy Elena szła nakarmić swoje zwierzęta, do bajorka wpadła mała metalowa kanka, w której niosła mleczko dla Jowity i Felicji. Dziewczyna pochyliła się nad lustrem wody i wyłowiła coś bardzo dziwnego. Jakie było jej zdziwienie, gdy w ręku ujrzała zamiast kanki - złotą podkowę! Nie zwlekając pobiegła do ojca.

-Tato! Spójrz, co znalazłam w naszym jeziorku.

-To przecież złota podkowa! Skąd się tutaj wzięła? - zapytał zakłopotany. - Przecież koń Damazy miał zwykłe podkowy, a pozostałe konie też...

Spracowany mężczyzna powiesił podkowę na jednej ze ścian kuźni. Od tej pory Tycjanowi i jego córce wiodło się znacznie lepiej. Do Cewic przyjeżdżało wielu ludzi, by podziwiać magiczną podkowę. Niektórzy zamawiali okucia wasągów i brony. Z czasem kowal i jego kuźnia stała się najsłynniejszą kuźnią nie tylko w okolicy, ale i na całym Pomorzu. A podkowa lśniła szczerym złotem... Niektórzy mówili, że jest złota, bo Tycjan ma szlachetne i złote serce. Im więcej ludzi ją podziwiało, tym stawała się bardziej lśniąca i błyszcząca.

Po latach, kiedy już stary i chory kowal umarł stało się coś bardzo dziwnego. Niegdyś złota podkowa zmieniła swą barwę. Straciła swój dawny blask i pokryła się rdzą.

Minęły lata. Wioska Cewice stała się dużą wsią, ludną i piękną. Do dziś po kuźni i Tycjanie pozostała tylko legenda. A podkowa wisi nadal, ale nikomu nie udało się rozwiązać zagadki, skąd się znalazła w bajorku...

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa nr 5 w Lęborku oraz

Szkoła Podstawowa w Szczenurzy

Autor: Jakub Nastaj

Tytuł: Znikająca Wieś

Niedaleko nas, tuż za taflą pięknego jeziora i za ścianą gęstego, zielonego lubowidzkiego lasu, znajduje się wieś zwana Sokołówką. Nie jest to zwykła wioska, jak te, które otaczają Lębork. Jest to Znikająca Wieś.
Nikt już nie pamięta, kiedy umarł ostatni mieszkaniec owej miejscowości, ale pewne jest, że obecnie Sokołówkę zamieszkują tajemnicze zjawy. Kto szukając grzybów, jagód lub choćby przygód zapuści się w lasy, które porosły Sokołówkę, ten natknie się na fundamenty starych zabudowań i ogromne przepastne piwnice starego dworu porośnięte korzeniami drzew. A piękny był to kiedyś dwór. Od wschodu i zachodu otoczony przez zabudowania folwarczne. Posiadał własną gorzelnię i młyn, a po horyzont ciągnęły się pola i łąki i lasy należące do dworu. Mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy przychodzili tam na odrobek, nieraz opowiadali o zaradnym gospodarzu, który parobków dobrze traktował, a dla dzieci chłopów szkołę otworzył, żeby „ciemnota" się nie szerzyła. Dobrze się żyło w Sokołówce do czasu, aż postanowiono wybudować kościół. Skoro Lubowidz i Rozłazino miały swoje świątynie, nieliczni mieszkańcy Sokołówki również chcieli mieć swój kościół, tym bardziej że do Lubowidza na coniedzielną mszę szło się przez las siedem kilometrów w jedną stronę. Latem była to jeszcze wspaniała wyprawa, bo i po drodze grzybów i jagód można nazbierać. Zimą mieszkańcy rzadko mogli iść do kościoła. Lasy zasypane śniegiem, wcześnie zapadający zmrok, grasująca po lesie groźna zwierzyna nie zachęcały do dłuższych wypraw. Ludziom bardzo brakowało kościoła we wsi, szczególnie w okresie świąt Bożego Narodzenia. Nie było gdzie szopki postawić, kolęd pośpiewać. Poszli więc, po pomoc do dworu, gospodarzowi swój zamysł budowy kościoła przedstawić. Gospodarz, człowiek mądry i bogobojny przychylił się do prośby chłopów i obiecał, że na wiosnę rozpocznie się budowa kościoła.
Nie wszyscy jednak byli szczęśliwi z planów powstania we wsi świątyni. Gdy dowiedział się o tym diabeł, któremu brak kościoła we wsi wcale nie doskwierał, postanowił pokrzyżować plany chłopów i nie dopuścić do powstania Domu Bożego. Oj, chytry plan już diablisko obmyślił. Musiał tylko poczekać do wiosny, do pierwszych roztopów.
Wiosna owego roku przyszła szybko. Rozkwitła tysiącem kwiatów na łąkach i drzewach, zazieleniła pola, zaświeciła ciepłym słońcem roztapiając ostatnie połacie śniegów pod lasem. A diabeł tylko na to czekał. Wygramolił się ze swojej rozpadliny, ubrał odświętny surdut, schował ogon w nogawkę, przyczesał skołtunioną grzywę, kapeluszem rogi nakrył, a na nogi wsunął trzewiki, co by kopyt nie było widać i z teczką (rodem z piekła) do dworu się udał. Do drzwi zastukał i o gospodarza zapytał:
- Czy jaśnie pan w domu? Jestem architektem prosto z Florencji - rzekł - jaśnie pan podobno do budowy świątyni architekta szuka. Sługa uniżony Mefistollo Rokittyni - przedstawił się diablisko.
Odźwierny, widząc światowego człowieka, wprowadził go do biblioteki, a sam poszedł po gospodarza, aby przybysza przyjął. A tak zachwalał nieznajomego, jakby co najmniej biskupa przyjmował.
- Sam widziałem jaśnie panie, cóż za postawa! Cóż za ubiór! Cóż za wykształcenie! Podobno z polecenia samego papieża przyjechał, aby nam kościół pobudować.
Gospodarz ze zdziwieniem słuchał swojego sługi, bo skąd niby ten obcy o budowie kościoła w Sokołówce mógł wiedzieć? Przecież z biskupem jeszcze nie rozmawiał, a ten przybysz z polecenia papieża z samej Florencji przybył? Dziwna sprawa - myśli - ostrożnym być trzeba, złego wokół nie brakuje. Mało to takich, co na krzywdzie ludzkiej chcą się dorobić? I tak pogrążony w myślach doszedł do dworu, wszedł do biblioteki i z nieznajomym florentyńczykiem ostrożnie począł się witać.

- Co waści w moje skromne progi sprowadza? - rzekł gospodarz, przyglądając się bacznie nieznajomemu.
- Będąc w Rzymie z audiencją u papieża usłyszałem, że świątynię chcecie pobudować - zaczął diablisko. - A żem sławny architekt, i człowiek wielce zacny i pomocny bliźniemu, swe usługi Panie chcę ci ofiarować.
I tu Mefistollo Rokittyni zaczął roztaczać przed gospodarzem plany budowy wspaniałej świątyni. Tak, świątyni właśnie, nie kościoła jak to zauważył gospodarz, bo w trakcie całej rozmowy ani razu diabeł nie wypowiedział słowa, od którego język kołkiem mu stawał, mianowicie „kościół". Dobrze on wiedział, że kościół jest dla Boga, a świątynie mogą mieć różne bóstwa. W tym właśnie tkwił cały plan diabła.
- Bo widzisz jaśnie panie, świątynia będzie z kamienia granitowego, kryta miedzianą blachą, w oknach będą kryształowe szyby, a drzwi dębowe, ławy bukowe, organy... mówił diablisko i mówił, i wychwalał swój projekt, i nawet szkice pokazywał, które w teczce przyniósł.
Gospodarz słuchał coraz uważniej, rysunki oglądał, o szczegóły wypytywał.
- Bryła świątyni rzeczywiście zachwycająca - stwierdził. - Ale jedno mnie zastanawia panie architekcie - rzekł. - Dlaczego nigdzie nie umieściłeś posągów naszych wielkich świętych? Dlaczego na ścianach brakuje świętych obrazów i krzyża w prezbiterium? Wszak ma to być świątynia boża, a nie stodoła do zabaw!
- Oj tam, oj tam jaśnie gospodarzu - odparł czart. - Do wybudowania jeszcze wiele czasu mamy, rzeźby i malunki na końcu wybierzemy, a teraz jak waść pozwolisz cyr... to znaczy umowę podpiszmy i do pracy przystąpmy. Diablisko chytrze się uśmiechnął, że kolejną naiwną duszę przechytrzył i piekielną umowę z teki wyjął, by czym prędzej inwestorowi do podpisu podsunąć, aby ten nie mógł już się wycofać.
Gospodarz po umowę sięgnął i czytać począł, gdy wtem Mefistollo z rąk mu ją wyrwał, proponując, że pokrótce streści wszystkie zapisane tam paragrafy. Wszak nie mógł diabeł pokazać, że ta umowa to piekielny cyrograf, na mocy którego w wybudowanej świątyni będą czczone pogańskie bóstwa. Dlatego też w świątyni, nie zaplanował ani posągów ani obrazów świętych. A jeżeli któryś z mieszkańców Sokołówki przestąpi próg świątyni mając przy sobie choćby maleńki obrazek czy medalik świętego, Matki Bożej lub Jezusa, to cała wieś zapadnie się pod ziemię i słuch po niej zaginie.
I czytał Czart wymyślone na poczekaniu warunki umowy, roztaczając wizję wspaniałej budowli, dzięki której Sokołówka stanie się znanym w całej Europie miejscem kultu. Gospodarzowi spodobała się umowa, zapytał tylko o kilka szczegółów.
- Panie architekcie, a o kosztach i terminie zakończenia prac nic nie ma w umowie? Wszak taka inwestycja musi niemało kosztować. Mnie stać ledwo drewniany kościółek ufundować, o murowanym już nie wspomnę. A i moi ludzie, mieszkańcy wsi, kościół na tegoroczne Boże Narodzenie widzieć już by chcieli i Pasterkę w nim odprawić radzi.
- Podpisz waści umowę dziś, a od jutra pracę zaczniemy. Diablęta, to znaczy robotników przyślę, a o fundusze się też nie martw, mój papież nas wesprze. Mefistollo uśmiechnął się chytrze, mamrocząc po cichu do siebie, co by też Belzebub powiedział, że papieżem go nazwałem? Głośniej zaś dodał - Gospodarzu decyduj się szybko, bo w Gdańsku na mnie czekają, gdzie mam równie wspaniałą świątynię budować. Wóz albo przewóz. Masz tu inkaust, pióro gęsie, usiądź przy ławie i podpisz. Wszak sam widzisz, ze warunki dogodne a majątku na tym nie stracisz. I tak nalegał, tak swój plan wychwalał, że omamiony i naiwny chłopina cyrograf podpisał, a przy tym duszę i swoją i mieszkańców wsi diabłu ofiarował.
Następnego dnia już od świtu ruszyły prace nad budową świątyni. Mefistollo Rokittyni jak powiedział, tak zrobił. Stu silnych diabelskich robotników sprowadził. Budowa migiem posuwała się na przód. Co niektórzy mieszkańcy Sokołówki mawiali miedzy sobą, że to chyba szatańska robota, skoro w ciągu jednego zaledwie lata postawiono kościół, którego budowa powinna trwać minimum trzy. Ale tak im zależało, żeby tegoroczną pasterkę odprawić już u siebie we wsi, że nie zwracali uwagi ani na dziwnych robotników ani na jeszcze dziwniejszego architekta. Tylko spostrzegawcze dzieci nieraz widziały, jak niejednemu murarzowi a to rogi

spod czapki wystawały, a to ogon z nogawki roboczych spodni się wysunął, czy na rozmokłym po deszczu gruncie ślady kopyt było widać.
Jesienią już dach na pięknym budynku ułożono. Błyszczała się w promieniach słońca miedziana kopuła. Jeszcze tylko marmurowe podłogi, ołtarze i ławy wstawić trzeba i na Boże Narodzenie Mszę Świętą odprawić będzie można. Cieszyli się chłopi, cieszył się gospodarz, diabeł ręce zacierał, lecz każdy radował się z innego powodu. Naiwni ludzie, myśleli, że będą mieć kościół, a czart, że nowe dusze posiądzie .
20 grudnia świątynię ukończono. Architekt i jego załoga zebrali powinszowania i gratulacje za szybko wykonaną pracę. Sam gospodarz zaprosił wspaniałego budowniczego do siebie na pożegnalną kolację, bo Mefistollo Rokittyni już 24 grudnia we Florencji musiał się stawić i przełożonemu zdać sprawozdanie z przebiegu budowy. W rzeczywistości diablisko do samego piekła miał się udać, aby przekazać swojemu Panu, że plan się powiódł i już niedługo wszystkie sokołówkowe duszyczki będą jego. Nie przewidział tylko jednego. Otóż dzieci koniecznie chciały w kościele postawić szopkę. Gdy dorośli pomagali przy budowie, chłopcy podczas wypasów rzeźbili anioły, pastuszków, trzech królów i świętą rodzinę. Dziewczynki szyły szatki dla Jezuska, Maryi, Józefa i pasterzy. A stary bartnik Bartłomiej, który nie tylko pszczołami się zajmował, ale i zręcznym rzeźbiarzem był, przepiękny krzyż z Jezusem wyrzeźbił, który nad prezbiterium miał zawisnąć. Figurki poświęcili w parafii w Lubowidzu, w tajemnicy przed rodzicami, aby im niespodziankę na pasterce zrobić. I tak z samego rana w wigilię Bożego Narodzenia dzieci wraz z Bartłomiejem udali się do kościoła, żeby szopkę ustawić i krzyż powiesić. W kościele brakowało i świętych obrazów, i świętych figur, więc chociaż szopka i krzyż miały oznajmić, że to świątynia boża. Ledwo jednak przekroczyli progi budowli, niosąc poświęcone dary, we wsi rozpętało się istne piekło. Świątynia zaczęła się walić, a wraz z nią inne budynki i domy mieszkańców. Dwór zapadł się pod ziemię. Nawet po wiatraku, który stał kilka kilometrów dalej nie pozostał żaden ślad. Mieszkańcy natomiast zostali zamienieni w zjawy, które do dzisiaj błąkają się po lesie.
Ten kto 24 grudnia zapuści się w lasy nieopodal Lubowidza i dotrze na Sokołówkę na własne oczy zobaczy Znikającą Wieś, która pojawia się tylko jeden raz w roku, w Wigilię Bożego Narodzenia jako przestroga, żeby nie ufać złu, które za wszelką cenę pragnie naszej zguby. Wybawić ich dusze tylko może postawienie prawdziwego kościoła i poświęcenie ziem wokoło. Może ktoś z was kościół ufunduje i księdza sprowadzi, aby czarcią ziemie poświęcił i biedne dusze wybawił?

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa nr 8 w Lęborku oraz

Szkoła Podstawowa w Wicku

Autor: Zofia Klata

Tytuł: Legenda o lęborskich trociach

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami... Nie, nie, nie. Nie cierpię tego oklepanego wstępu, zwłaszcza, że akcja utworu dzieje się może i dawno, ale nie w aż tak odległych czasach i wcale nie daleko, tylko tu w naszym kochanym, starym Lęborku. No więc zacznijmy jeszcze raz.

Witajcie! Pozwólcie, że na razie nie zdradzę swojej prawdziwej tożsamości. Sami możecie nadać mi imię. Ludzie mówili o mnie różnie. Nazywali mnie Szumem Wiatru, Duchem Przygody, Samotnym Wędrowcem, ale do tej pory udało się rozwiązać tę zagadkę tylko bohaterowi dzisiejszej opowieści, Dobrosławowi, dzięki któremu zagościłem w Lewinburgu.

Pewnej nocy Dobrosława nawiedził duch. Zjawa była wielka, przypominała połączenie lwa ze smokiem. W pierwszej chwili młodzieniec przeraził się, jednak głęboko w jego sercu drzemała chęć walki, sięgnął więc po miecz.

- Nie trudź się, jam jest Duch Miasta, w mych żyłach nie płynie krew, a skóry nie podtrzymują kości, nie możesz więc wyrządzić mi krzywdy twą bronią - rzekł stwór.

- Kim więc jesteś i po co przybywasz? - spytał nasz bohater.

- Nie mogę już dłużej patrzeć na to, jak niszczeje miasto, którego jestem współzałożycielem. Język mój rozumieją nieliczni, a wskazówkę usłyszą wybrańcy, którzy zmienić mogą bieg wydarzeń, ci o czystym sercu, ci rozsądnie czyniący. Słuchaj uważnie i czyń, jako powiem:

Ojczyzna twoja w niebezpieczeństwie
jedynie dusza ocalić cię może,
siła tkwi w twoim męstwie
nikt inny w zadaniu ci nie pomoże.
Braci przekonaj do czynów ich zmiany.
Pamiętaj, jedynie imię wędrowca,
co dawno w tym mieście nie był widziany,
odsunąć ludność tę może od grobowca,
co z kamienia twardego wykonany.

Po tych słowach zniknął.

Dobrosław długo rozmyślał o tym, co usłyszał od tajemniczego gościa. „... Ci o czystym sercu, ci rozsądnie czyniący..." - to zdanie długo brzęczało mu w uszach. Gdy przez kilka dni nie mógł zrozumieć sensu słów nieznajomego, udał się do spowiedzi. Po otrzymaniu rozgrzeszenia, modląc się w kościele, z niepokojem obserwował, jak kolejna umierająca z głodu młoda dziewczyna, przyjmowała ostatni sakrament. Wpatrując się w jej śliczne, alabastrowe czoło i modre oczy zaczynał rozumieć, jak poważne jest owo tajemnicze niebezpieczeństwo, czyhające na jego małą ojczyznę, którą był od dłuższego czasu Lewinburg. Długotrwała susza zniszczyła już większość upraw, a władze biednego grodu nie miały pieniędzy na zakup towarów z sąsiednich osad. Ludziom pozostawała jedynie zdatna do picia woda, którą czerpali z rzeki płynącej przez miasto.

Odkąd mieszkańcy zaczęli źle postępować, oddawać się swarom i kłótniom i stali się rządni władzy, pieniędzy i skarbów, brakuje nam żywności. Tylko jak ja, prosty chłop, mam przekonać ludzi do zmiany ich postępowania?"

Następnego dnia, przemyślawszy nocą, jakie kroki powinien podjąć, ruszył na wieżę miejskiego kościoła Jakubowego. Już prawie stawał na pierwszym schodku, gdy nagle pojawił się mały, ale od dawna siejący postrach skrzat. Ubrany był w czarne spodnie, z ust wystawały mu ogromne, białe kły, a po szyi spływała stróżka ciemnej krwi.

- Stój, głupcze! - krzyknął.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał nieustraszony młodzieniec.

- Dobrze wiesz, że pokarmem dla mnie są dusze grzeszników. Jeżeli nakłonisz ludność do czynienia dobra, czym wtedy się najem? Ostrzegam, nie będę tego tolerował! Jeżeli sprzeciwisz się mojej woli, zginiesz w strasznych mękach, a twoje ciało nie zostanie należycie pochowane.

- Dobro moich przyjaciół jest dla mnie ważniejsze od mego życia.

- Rób jak uważasz, ale zapamiętaj: droga na szczyt nie będzie łatwa - to powiedziawszy skrzat zaśmiał się złowieszczo i zniknął.

Biedny Dobrosław nie wiedział, jakie niebezpieczeństwa na niego jeszcze czyhają, ale kroczył niestrudzenie naprzód. Już po kilku stopniach poczuł ból i dziwny niepokój. Kilka kroków dalej niespodziewanie wyskoczył zza węgła zionący ogniem smok. Przerażony chłopak drżącymi rękami sięgnął po miecz umieszczony w pochwie przytroczonej do paska spodni. Jednym zwinnym ruchem odciął głowę bestii i z bijącym sercem pognał ile sił w nogach po stromych schodach, mając nadzieję, że dojdzie do celu bez kolejnych niespodzianek. Niestety, po chwili niepokój jego przybrał na sile, a oczy spoczęły na nienaturalnie pięknej twarzy czarownicy. Jej wielkie, czarne jak smoła źrenice były skierowane prosto na oczarowanego jej urodą młodzieńca. Wiedział jednak, że powinien czym prędzej wzrok odwrócić, by nie paść ofiarą podstępnego czaru. Nagłym ruchem silnej ręki odtrącił niewiastę i nie bacząc na nic, krok po kroku piął się schodami na wieżę. Już, już miał otwierać drzwi. Już, już miał ujrzeć dzwon kołyszący się na wiosennym wietrze, gdy nagle błogą ciszę przerwał donośny krzyk najprawdziwszego diabła.

- Więc jednak zlekceważyłeś słowa mego wysłannika, którego zastałeś na początku swej drogi. Musisz ponieść karę! - to mówiąc, stwór ugryzł Dobrosława w łydkę, zostawiając na niej czarne ślady swych zębów, co oznaczało skazanie go na pośmiertne męki piekielne.

Nie zważając na ból spowodowany ukąszeniem i na strach, który w sercu biednego młodzieńca zasiało spotkanie z tak strasznym stworzeniem, nasz bohater wszedł do małej izdebki na szczycie wieży kościelnej. W niej znajdował się dzwon, używany przez pobożnych kleryków do obwieszczania jutrzni, nieszporów oraz mszy świętych. Stanąwszy przy sporych rozmiarów oknie zakrzyknął: „Słuchajcie ludzie!", po czym opowiedział o swoim nocnym spotkaniu z Duchem Miasta i o tym, czego się od niego dowiedział. Po jego słowach plac miejski znajdujący się u stóp kościoła rozświetlił dziwny blask, serca mieszkańców oczyściły się z grzechów, wszyscy poczuli niewypowiedzianą radość i postanowili porzucić wszelkie złe uczynki. Wiedzieli, że nic już nie będzie takie samo. Gdy tłum zaczął się powoli rozchodzić, rozbrzmiał donośny głos Ducha Miasta „Wasz brat dobrze się spisał. Dzięki jego zasługom nigdy nie zabraknie wam już pożywienia. W nagrodę sprawię, że co roku do waszego miasta będą przypływać całe ławice troci na tarło. A ciebie, Dobrosławie wykupię od diabła."

Jak widzicie, Duch Miasta spełnił swoją obietnicę i aż do dnia dzisiejszego możemy obserwować te cudowne ryby, nie gorsze od pstrągów czy łososi, przemierzające wody naszej czystej rzeki Łeby. Zapewne każdy z was obserwował niejeden raz wędkarzy, którzy od wiosny do jesieni cierpliwie siedzą w zaroślach na brzegu, czekając, aż chwyci przynęta i wędka głębiej zanurzy się w wodzie.

Pamiętajcie! Chciwość nie popłaca, a najpiękniejsze dary rodzą się, gdy w naszych sercach gości dobro i miłość do bliźniego. Często nie zauważamy, że aby dokonać wielkich czynów, potrzebna jest tylko ta mała, „czysta" cząstka naszego serca. To WY możecie wpuścić mnie do WASZEJ małej ojczyzny, tak jak zrobił to Dobrosław.

Do widzenia!!!!!!!

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa nr 7 w Lęborku

Autor: Paulina Czajkowska

Tytuł: Duch pałacu

Gdy jakiś przechodzień - miejscowy bądź obcy - mija pałac z Zdrzewnie, a w zasadzie to, co z niego zostało, może choć przez krótki moment zastanawia się jak żyło się kiedyś w tym pałacyku. Jak on wyglądał u szczytu swojej świetności? Kto tam mieszkał? Piękne damy, przystojni panowie? Czy tamci ludzie byli szczęśliwi? Może czasem przyjdzie komuś do głowy taka myśl. Może. Ale czy ktoś zdaje sobie sprawę, że kiedyś w tym pałacu przebywał także... duch? Nie? Posłuchajcie więc historii o duchu ze Zdrzewna!

***

Gdy jeszcze kilkadziesiąt lat temu pałac tętnił życiem wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej. Właściciel pałacu, hrabia, co rusz urządzał tu przyjęcia lub wybierał się z przyjaciółmi do lasu na polowanie, po czym świętowano w pałacu - mniej lub bardziej - udane łowy. Żona hrabiego uwielbiała swój ogród i pomimo że wśród służby był również ogrodnik, hrabina często sama plewiła wśród kwiatów, siała, przesadzała - a gdy latem ogród tonął we wszystkich kolorach, siadywała chętnie w cieniu rozłożystych drzew i podziwiała to otaczające ją piękno.

W pałacu mieszkała także córka hrabiostwa, która kochała czytać książki. To głównie na jej prośbę hrabia sprowadzał do pałacu nowe powieści i po pewnym czasie biblioteka naprawdę się rozrosła. Młoda hrabianka urządzała raz w tygodniu spotkania - wieczory z książką - na których pojawiali się jej przyjaciele. Opowiadali sobie przeżycia związane z daną lekturą, dzielili się wrażeniami.

Można powiedzieć, że życie tutaj było sielanką. Hrabia dbał również o chłopów, nikomu nie odmawiał pomocy, więc był łubiany i szanowany wśród ludu. Ale od pewnego czasu coś zaczęło się psuć...

To zaczęło się na jednym z wieczorków z książką młodej hrabianki. Było bardzo wesoło, ktoś właśnie tłumaczył reszcie, co go najbardziej zachwyciło w lekturze, gdy nagle na oczach wszystkich książki zaczęły wystrzeliwać z regałów! Dosłownie wystrzeliwać, jak z armaty! Regał po regale, książki z hukiem padały na ziemię. Ludzie zaczęli panikować i z wrzaskiem uciekać z biblioteki.

Hrabia nie chciał wierzyć opowieściom córki. Sam osobiście sprawdził regały i zapewnił ją, że nie ma w nich niczego podejrzanego. To na pewno był przypadek, może chwilowe trzęsienie ziemi nawet.

Lecz przestało mu być do śmiechu, gdy którejś nocy obudziło go okropne wycie. Początkowo myślał, że to może psy wyją na dworze, albo wiatr huczy w kominku. Jednak to nie mógł być wiatr ani pies - zwłaszcza że do upiornego wycia dołączył szaleńczy śmiech - i tak przez kilka godzin. Dopiero nad ranem się uspokoiło, a hrabia z podkrążonymi oczami zaczął się zastanawiać czy przypadkiem nie oszalał.

Również i żonę hrabiego spotkała nieprzyjemna sytuacja. Przebierała się właśnie w robocze ubranie - chciała wyjść do ogrodu trochę uporządkować rabatki - gdy nagle jej suknia sama poderwała się w powietrze! Zaczęła krążyć, wirować po pokoju, jak gdyby jakieś niewidzialne ciało miało ją na sobie. Przerażona hrabina zaczęła krzyczeć, ale gdy służba wpadła do pokoju, suknia opadła na ziemię, a gdzieś nad nimi rozległ się upiorny chichot...

Takie sytuacje zaczęły się powtarzać codziennie. W niespodziewanych momentach przedmioty unosiły się w powietrze albo spadały z szaf. Jedna z kucharek raz nawet zemdlała, gdy przygotowany do skubania już bezgłowy kurczak nagle jakby ożył i zaczął latać. Na porządku dziennym były przeraźliwe wycia po korytarzach lub, dla odmiany, upiorne chichoty. Zaproszeni goście wymigiwali się od przyjścia w odwiedziny. Najbardziej cierpiała nad tym córka hrabiego, bo nawet jej przyjaciele przestali przychodzić na wieczorki literackie. Ludzie na wsi zaczęli gadać, że pałac musi być przeklęty. Może była w tym wina hrabiego? Może dopuścił się jakiegoś straszliwego grzechu, a to teraz kara za jego winy?

Miarka się przebrała, gdy któregoś razu przy obiedzie kieliszek z winem uniósł się w powietrze, a jego zawartość wylądowała na głowie hrabiny. Ta wybuchła płaczem, a hrabia postanowił, że czas stanąć prawdzie w oczy - w pałacu jest duch. Trzeba coś z tym zrobić.
Hrabia sprowadził najpierw proboszcza, później różnych księży specjalizujących się w wypędzaniu duchów, ale nic nie pomogło. Duch był wyjątkowo odporny na wodę święconą i modlitwy.
Ogłoszono więc w okolicy, że hrabia zapłaci niemałą sumkę temu, kto wypłoszy ducha z jego pałacu. Reagowano na to różnie. Część mieszkańców tylko utwierdziło się w przekonaniu, że hrabia jest przeklętym grzesznikiem i zaczęto spluwać na jego widok. Ale trafiła się też spora grupa śmiałków, która z zapałem przychodziła do pałacu. Młodzi mężczyźni chełpili się swoimi umiejętnościami w walce z duchami, co rusz zerkając kątem oka w kierunku młodej hrabianki. Niestety! Większość z nich z wrzaskiem uciekała w nocy z pałacu, nie tracąc nawet czasu na przebranie koszuli nocnej.
A duch dalej śmiał się i dręczył mieszkańców.
Z czasem zaczęto jakby przyzwyczajać się do ducha. Już nie reagowano wrzaskiem na jego sztuczki, tylko ciężko wzdychano, jak nad nierozumnym uczniem, który nie jest w stanie zapamiętać tabliczki mnożenia. Hrabia bardzo schudł i miał ciągle podkrążone oczy. Hrabina posiwiała, a ich córka stała się bardzo melancholijna. Część służby zwolniła się, bo nie chciała dłużej pracować w takich warunkach. Zaczęto poważnie rozważać wyprowadzkę z pałacu.
Któregoś dnia zawędrował w te strony pewien młodzieniec. W zasadzie nie chciał zatrzymywać się dłużej w Zdrzewnie, ale gdy od jednego z mieszkańców wsi usłyszał historię o duchu utrudniającym życie w pałacu, postanowił, że spróbuje jakoś uporać się z tą zjawą. Co mu szkodzi przecież spróbować?
Feliksowi, gdyż tak miał na imię ów młodzieniec, otworzył drzwi jeden z nielicznych już wiernych sług. Zaprowadził go do salonu, wzdychając tylko po drodze ciężko, bo duch znowu zaczął swoje upiorne wycie. W salonie siedział hrabia z poszarzałą z nerwów twarzą oraz jego żona i córka.
- Mówisz więc, młodzieńcze - zaczął hrabia - że byłbyś w stanie pozbyć się tego naszego utrapienia?
- Tyle już tu było i nikt nie dał rady - załkała hrabina. - Tu nie można tak dłużej żyć!
W tym właśnie momencie duch postanowił pokazać nowemu gościowi, na co go stać. Wszystkie obrazy wiszące na ścianach z hukiem zaczęły spadać na ziemię.
- Widzisz? - spytał hrabia słabym głosem. - I tak dzień w dzień, bez przerwy.
Feliks zastanowił się przez chwilę, po czym odparł poważnie:
- Wydaje mi się, że wiem o co chodzi waszemu duchowi. Nic nie obiecuję, ale spróbuję coś z tym zrobić.
Hrabianka zdziwiła się na te słowa. Większość ludzi, którzy tu przybywali, chełpili się, co to oni nie potrafią, ale na widok działań ducha uciekali w popłochu. Jednak Feliks wcale nie przechwalał się, że następnego dnia już duch zniknie ze Zdrzewna.
Po kolacji zaprowadzono Feliksa do pokoju, w którym miał spędzić noc. Uprzedzono go jednak uczciwie, że duch na pewno w nocy nie da mu spać. I rzeczywiście - krótko po północy w pokoju Feliksa rozległo się wycie ducha - duch przecież nie mógł odpuścić sobie uciechy przestraszenia nowego przybysza.
Ten jednak nawet nie zagregował na jego wrzaski. Duch zdziwił się. Czyżby ten chłopaczek umarł ze strachu? Hoho, to mu się jeszcze nie zdarzyło przestraszyć kogoś na śmierć! Duch nachylił się ostrożnie nad łóżkiem, gdy nagle rozbłysło światło - Feliks wyszedł z szafy i trzymał w ręku zapaloną lampę naftową.
- Pokaż się, skoro jesteś taki odważny - rozkazał duchowi Feliks. - Płatać figle masz odwagę, ale ujawnić się, to już nie?
Duch zdenerwował się. Nikt nie będzie mu wypominał, że jest tchórzem! Zmaterializował się więc, a Feliks ujrzał niewiele może młodszego od siebie młodzieńca, chłopca raczej. Piegowaty, o złośliwych oczkach, na głowie miał kapelusz z pawim piórem. Duch uniósł się w powietrze i zaczął rzucać w Feliksa pestkami dyni.
- Myślisz, że jesteś taki zabawny? - Feliks spytał się kpiąco ducha. - Znam o wiele lepsze sztuczki od ciebie.

- Akurat! - duch wykrzyknął oburzony. - To ja jestem najlepszym kawalarzem w tych stronach! Nikt nie zna lepszych sztuczek ode mnie!
- A może się założymy? - zapytał Feliks. - Urządzimy konkurs.
- Co będę z tego miał? - spytał duch mrużąc oczy.
- Jeśli wygrasz, będziesz mógł tu zostać na stałe i nikt już nie będzie próbował cię stąd wyganiać.
- Ha! To już możesz pakować manatki... - zaczął duch, ale Feliks mu przerwał.
- Ale jeśli ja wygram - oświadczył stanowczo. - To wyniesiesz się z pałacu, ze Zdrzewna i nigdy więcej już tu nie wrócisz.
Duch zaśmiał się tylko, ale się zgodził. Ten cały poważny chłopaczek drażnił go. Powinien był uciec z wrzaskiem na jego widok, a nie przechwalać się, że zna lepsze sztuczki! Feliks oznajmił mu jeszcze, że za trzy dni hrabia urządzi przyjęcie, podczas którego zostanie wyłoniona osoba znająca najlepsze sztuczki. Duch uśmiechnął się złośliwie, po czym znów stał się niewidzialny. Przeleciał przez ścianę i zaczął znów swój nocny koncert okropnych wrzasków i jęków.
Hrabia wcale nie był szczęśliwy na wieść o zakładzie Feliksa z duchem. Nie wierzył za bardzo w możliwości młodzieńca, ale co pozostało mu do stracenia? Tak czy siak duch uprzykrzał im życie, ale może jednak jakimś cudem uda się go stąd pozbyć?... Córka hrabiego była zachwycona wieścią o przyjęciu. Już dawno nie było w pałacu żadnych gości. Była pewna, że na wiadomość o zakładzie ducha z Feliksem przybędą tu tłumy, bo każdy będzie chciał zobaczyć na własne oczy tę przerażającą zjawę.
Nadszedł w końcu ten wieczór. Młoda hrabianka próbowała dowiedzieć się, jaką to sztuczkę przygotował Feliks, jednak ten nie chciał jej nic zdradzić. Rzeczywiście, przybyły tłumy zaproszonych gości, nikt nie odrzucił zaproszenia! Nawet część dawnej służby przybyła do pomocy w szykowaniu potraw i sprzątaniu pokoi. Nikt nie chciał przegapić takiego wydarzenia.
Duch, jak to duch, uwielbiał mocne wejścia. Wszyscy nerwowo oczekiwali jego przybycia; nikt nie wiedział, kiedy dokładnie rozpocznie się pojedynek na sztuczki. Feliks spokojnie czekał - wiedział, że duch na pewno będzie chciał popisać się przed gośćmi.
I rzeczywiście - nagle, wśród śmiechów i brzęku sztućców rozległy się krzyki. Stół zaczął unosić się w powietrze! Przerażeni goście prędko odbiegli na bok. Rozległ się głośny śmiech, stół opadł z hukiem na ziemię, a dla odmiany żyrandol zaczął się ze świstem kręcić w koło. Ludzie bali się, że żyrandol spadnie na ziemię, na szczęście duch przestał po chwili. W powietrze uniosła się taca z owocami, a duch począł nimi żonglować. Szybko mu się to jednak znudziło, a owoce spadły na głowy zgromadzonych gości. Duch chwycił tym razem za kapelusze - nimi także zaczął żonglować, a następnie wyleciał przez taras i umieścił kapelusze wysoko na gałęziach drzewa. Wrócił widocznie po chwili, bo tym razem nagle córka hrabiego znalazła się w powietrzu! Ta zaczęła przeraźliwe krzyczeć, gdy duch wirował z nią nad salą lub podrzucał wysoko. Odstawił ją jednak po paru minutach ostrożnie na ziemię, po czym ku zdumieniu obecnych zmaterializował się - uniósł się w powietrze i skłonił przed publicznością.
- Teraz twoja kolej! - krzyknął w stronę Feliksa.
Feliks, który przez cały czas spokojnie obserwował poczynania ducha, nakazał zgasić wszystkie światła. Zostawił tylko jeden stojak, na którym postawił kilka świec, tak by rzucały światło na ścianę. Gościom kazał się odsunąć, a następnie zaczął dłońmi tworzyć różne cienie na ścianie.
- Zwykły teatrzyk cieni? - zakpił duch. - I tym chcesz mnie niby pokonać?
Lecz nagle cienie jakby ożyły - Feliks zaczął niesamowicie szybko poruszać dłońmi, tworząc niezwykłe kształty. Jego cienie oderwały się od ściany i jak nie chwycą ducha! Duch krzyknął przerażony, gdy cienie zaczęły unosić go w powietrze i podrzucać, tak jak on wcześniej córkę hrabiego! Duch wirował wokół sali ku uciesze tłumu. Któryś z cieni chwycił czereśnie ze stołu i zaczął nimi rzucać w ducha. Wszyscy goście śmiali się w głos, gdy duch zawisł do góry nogami pod żyrandolem. Cienie zakręciły nim jeszcze parę razy, po czym duch spadł z

pluskiem do wazy z ponczem. Przemoczony, z czereśniami dyndającymi mu na uszach, a także okrutnie wyśmiany przez ludzi, ukradkiem wyleciał z sali. Jeszcze nikt nigdy go tak nie upokorzył! Zniknął z pałacu i poprzysiągł sobie, że już nigdy nie wróci do Zdrzewna.

Tłum wiwatował na cześć Feliksa. Hrabia ze łzami w oczach dziękował mu za wypędzenie ducha. Nie wierzył, że mu się to uda, ale jednak! Wreszcie pałac jest wolny od koszmarów!

Huczna zabawa trwała do rana. Przybyli także chłopi z okolicznych domów. Tego dnia wszyscy cieszyli się z pozbycia się ducha.

Legendę ilustruje:

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Lęborku

Autor: Maria Michałowska

Tytuł: Legenda o lęborskiej fontannie z żabkami

Nie tylko Wanda, bohaterka starej polskiej legendy, nie chciała Niemca. Mieszkańcy Lęborka mają w swojej historii podobną historię.
Wszystko zaczęło się w rodzinie polskiego młynarza o imieniu Dobromir. Fach swój uprawiał z upodobaniem, a znał go dobrze, przechodził bowiem w jego rodzie z pokolenia na pokolenie. Dobromir był ojcem ośmiu córek. Pan Bóg nie obdarzył go męskim potomkiem. Chociaż w głębi duszy pragnął syna, był wdzięczny losowi, bo córki były nie tylko urodziwe. Gdy dorosły, okazało się, że są także pracowite i zaradne jako gospodynie. Wychowywał je sam od momentu, tuż po narodzinach najmłodszej córki Liliany, jego ukochana Halszka poważnie zaniemogła. Udało mu się oddać ją pod troskliwą opiekę sióstr cystersek do klasztoru w Wejherowie. Odwdzięczał się za to nie tylko datkami na klasztor, zaopatrywał go także w mąkę z własnego młyna. Niestety, zmarło się biedaczce. Jakby mało było nieszczęść, młyn dziedziczony po ojcach dostał się w ręce Zakonu Krzyżackiego. Nic go już nie trzymało w rodzinnej wsi. Wyruszył więc w drogę w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia i miejsca, gdzie mógłby osiąść, by wraz z córkami rozpocząć nowe życie.
Nie mógł wiedzieć, że dalszy scenariusz jego losów złoży się na legendę.

Gdy dotarł do rozbudowującego się miasteczka, zwanego z niemiecka Lauenburg, dopisało mu szczęście, gdyż w zamkowym młynie nikt dotąd nie sprawdził się w profesji, którą on wyssał niemal z mlekiem matki. Jako kolejny młynarz, nie wiadomo już który, został poddany próbie. Szybko poznano się na jego talentach i pracowitości. Już wówczas znane było powiedzenie: „ Młynarz budzi się w nocy, kiedy młyn staje". Taki był Dobromir: pracowity, oddany bez reszty temu, czym się zajmował.
W tym czasie panem na zamku był rycerz ze znamienitego rodu Hans von Gleichen. Wymagał od poddanych lojalności i za najdrobniejsze nawet przewinienia karał okrutnie, ze śmiercią włącznie. Jednakże młynarz zakonny był ważną personą, co sprawiło, że nie musiał obawiać się prześladowań. Wraz z córkami zamieszkał w obszernym i wygodnym Domu Młynarza. Panny, nauczone solidnej pracy, pomagały ojcu. Zajmowały się także kuchnią i spiżarniami.
Mówi się jednak, że wszystko co dobre, szybko się kończy.
Nad, śmiało można rzec, sielankowym życiem rodziny nagle pojawiły się czarne chmury, mimo iż nic na to wcześniej nie wskazywało. Przyczyną dramatu, który miał się wkrótce wydarzyć, była nieszczęśliwa miłość. Córki młynarza uchodziły za piękności. Mówiło się o nich nawet „piękne młynareczki". Liliana, najmłodsza, o wybitnie słowiańskiej urodzie, przykuła uwagę Konrada, młodego syna zarządcy zamku. Konrad ścigał ją wzrokiem, co młodziutką dziewczynę bardzo peszyło. Gdy adorator był w pobliżu, onieśmielona wbijała wzrok w podłogę, jednocześnie to splatając, to rozplatając końcówki warkoczy. Nieśmiałość dodawała jej uroku, a młody Gleichen nie odstępował jej ani na krok. Pod byle pretekstem pojawiał się w kuchni, gdzie Liliana przebywała najczęściej. Konrad wiedząc, że dziewczyna nie odwzajemnia jego uczuć, skrywał je przed własnym ojcem. Domyślał się, że konsekwencje odrzucenia zalotów przez - bądź co bądź - niewolnicę, mogą być przykre nie tylko dla ukochanej.
Charakter młodzieńca bardzo różnił go od ojca. Chłopak był uczuciowy, wrażliwy. Cierpiał, widząc krzywdę niewinnych ludzi, co bardzo drażniło ojca. Von Gleichen szybko zorientował się, że jego syn zakochał się do szaleństwa, a że uczucia według niego były oznaką słabości, pewnego razu zniecierpliwiony rzekł:

- Widzę, żeś okrutnie rozmiłowan w córce młynarza. Syn Zakonu, a wkrótce przywdziejesz biały płaszcz i otrzymasz miecz, nie może być słaby i uległy. Musisz wiedzieć, kto jest pan, a kto sługa. Chcesz dziewkę, bierz, a nie pytaj o zgodę .

Gdy wypowiadał te słowa, twarz jego ani drgnęła. Sztywny i wyprostowany, z podniesioną głową, spoglądał na Konrada tak obojętnie, a zarazem pogardliwie, jakby patrzył nie na syna, a nawet nie na człowieka, ale na kołek w płocie. Po tym, jak odprawił swego potomka, nie dopuszczając go do głosu, wezwał do siebie młynarza.

- Syn mój Konrad upodobał sobie jedną z twych córek. Żądam, by natychmiast stawiła się na zamku.

- Wybacz panie, ale nie może dojść do tych zrękowin, albowiem wraz z małżonką moją Halszką śluby złożyłem, że nie oddam żadnej z córek obcemu i chciałbym ślubów dochować - odpowiedział zatroskany młynarz.

- A kto tu mówi o zrękowinach, głupcze. Nie schlebiaj sobie. Nie zapominaj, że żyjecie tylko z łaski Zakonu. Jutro dziewka ma stawić się na zamku! Wracaj do swoich obowiązków - tymi słowami zakończył rozmowę.

Dla okrutnego Niemca nie liczyły się żadne świętości. Nie pomogły błagania Konrada, żeby zaniechać przymusu. Zarządca był nieugięty.

Następnego dnia Liliana zniknęła. Rozpacz młodego dziedzica była ogromna, gdy przy młyńskim kole znalazł kokardę z warkocza dziewczyny. Przyszedł do Dobromira, który zdziwił się wielce tą wizytą.

- Wiedz młynarzu, że rad byłbym nieba przychylić waszej córce. Nie spodziewałem się takiego nieszczęścia. Cierpię wraz z tobą. Muszę cię ostrzec. Pozostałe twoje córki są także zagrożone. Ojciec mój nie pogodzi się z odmową. Będzie się mścić. Powinniście rychło opuścić miasto - mówił drżącym z przejęcia głosem.

- Widzę , żeś prawy człek - rzekł wzruszony Dobromir.

- Wdzięcznym ci bardzo za troskę i ostrzeżenie. Mam już pewien plan i wiem, kto może mi pomóc. Wracaj Konradzie na zamek. Ojciec nie powinien widzieć ciebie tutaj.

Dobromir rzeczywiście miał pomysł. Ostatnimi czasy osiedliła się w mieście kobieta zajmująca się tkactwem. Spod jej rąk wychodziły przepiękne gobeliny i inne użyteczne tkaniny, a pracowała na potrzeby zamku. W ukryciu, za żywność i drobne datki, dorabiała sobie wróżbą i czarami. To u niej młynarz ukrył Lilianę i prosił o radę w tej dramatycznej sytuacji. Miał przyjść powtórnie następnego dnia. Nie zwlekał. Przyszedł skoro świt, zanim wzeszło słońce.

- W tobie cała nadzieja, Okalico. Ratuj moje córki przed zgubą. Wiem, że znasz się na czarach. Ulituj się nade mną. Nie wiem co mam czynić - błagał.

Kobieta zastanawiała się dłuższą chwilę, po czym wyszeptała coś młynarzowi wprost do ucha, jakby obawiała się, że słowa usłyszy ktoś niepowołany. Na koniec kazała przyprowadzić panny, gdy zapadnie zmrok. Młynarz potakująco skinął głową i wyszedł bez słowa.

Chciałbyś zapewne wiedzieć Drogi Czytelniku, co też kobieta powiedziała zrozpaczonemu ojcu. Otóż zaproponowała, że tajemnym zaklęciem przemieni młynarki w kamienne żabki, a gdy tylko zagrożenie minie, cofnie zaklęcie.

Krótko przed północą, w obecności rodziny młynarza, Okalica wypowiedziała czarodziejską formułę:

Iskry z ogniska, puchacza głos
Niech pannom z głowy nie spadnie włos
Ale na moje zawołanie
Niech każda kamienną żabką się stanie

Po północy młynarz wrócił do siebie, niosąc wiklinowy kosz z najcenniejszą dlań zawartością – kamiennymi żabkami.

Kolejny dzień nie mógł przynieść niczego dobrego, co było do przewidzenia. Nieznoszący sprzeciwu zarządca krzyżacki, zorientowawszy się, że wszystkie panny zniknęły, zażądał od Dobromira wyjaśnień. Po wielu

groźbach i krzyku rozsierdzonego pana, uparcie milczącego młynarza zakuto na dziedzińcu zamkowym w dyby. Okrutny Hans musiał jednak zaniechać surowszej kary, a mówiono już o karze śmierci. Okazało się, że nie znaleziono nikogo, kto mógłby zastąpić go w prowadzeniu młyna. Przywrócono więc nieszczęśnika do pracy, do czasu znalezienia zastępcy, oznajmiając jednocześnie, że dosięgnie go kara.
Nad losem młynarza bardzo ubolewał jego pomocnik. Tyle tylko, że nie były to ubolewania szczere. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia. Mimo niepozornej sylwetki, Karzeł był bardzo silny fizycznie. Zarządca przydzielił go do pomocy we młynie, niby to frasując się, że młynarz zakonny zbyt ciężko pracuje. Tymczasem pomocnik był zwykłym szpiegiem. Donosił Hansowi, przekazując najbłahsze nawet plotki i informacje.
- Z czym przychodzisz Karle? - spytał donosiciela, który wcześniej się zapowiedział.
- Nie wiem, czym godny mówić o pańskim synu - oznajmił ten służalczym tonem.
- Mów, bo tracę cierpliwość! - zareagował nerwowo Krzyżak.
- Słyszałem, zupełnie przypadkowo, panie, rozmowę młodego dziedzica z młynarzem. Ostrzegał go przed jaśnie panem. Namawiał do ucieczki. Słyszałem także, że Okalica zajmuje się czarami i że u niej właśnie młynarz szuka ratunku.
- Potrafię wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy na niemiecki zakon rękę podnoszą. Choćby to był i syn rodzony, przed karą nie umknie.- Mówiąc te słowa, Hans zaciskał pięści tak mocno, że słychać było chrzęst kości.
Słuchając swego pana, Karzeł stał z kornie schylonym grzbietem. Nie śmiał nawet unieść głowy. Na gest Krzyżaka, pozwalający mu odejść, wycofał się spiesznie.
Doniesienia Karła okazały się tragiczne w skutkach. Ku rozpaczy młynarza, Okalicę spalono na stosie na wzniesieniu górującym nad miastem. Dobromir był bliski szaleństwa. Wiedział, że bezpowrotnie utracił córki. Bezwzględny Hans zemścił się także na własnym synu, wtrącając go do lochu pod zamkiem.
Wkrótce miasto zostało uwolnione spod jarzma krzyżackiego. Młynarz wciąż wykonywał swoją pracę, co było jego jedyną w życiu pociechą. Nie mógł jednak pogodzić się ze stratą. Dlatego w centrum miasta zbudował fontannę i umieści na niej osiem kamiennych żabek. Pod osłoną nocy przychodził w to miejsce i opłakiwał córki, a łez nazbierało się tak dużo, że zapełniły fontannę.
Tymczasem do wolnego od tyrana, rozbudowującego się miasteczka, przybywali wciąż nowi osiedleńcy. Przywędrował tu między innymi żołnierz tułacz słynący z tego, że nie jeden pióropusz z hełmu krzyżackiego zerwał. Słyszał w drodze, że nieopodal jest miasto, położone w przepięknej okolicy, gdzie kowal potrzebuje pomocnika. Zdrożony dotarł do Lęborka. Ujrzał fontannę z żabkami, a ponieważ był spragniony, postanowił napić się z niej wody. Zdumiony był wielce, gdyż okazało się, że jest słona.
Najął się do pracy w kuźni i postanowił zatrzymać się na dłużej. Myśl o słonej wodzie w fontannie nie dawała mu jednak spokoju, a że był z natury dociekliwy, wypytywał mieszkańców o tajemnicę fontanny z żabkami. W ten oto sposób poznał historię młynarza. Szczegółów dowiedział się już niego samego. Choć Dobromir był nieprzystępny i stronił od ludzi, udało mu się przełamać jego nieufność.
Dobromir wyznał, że cierpi nie tylko z powodu utraty córek.
- Muszę zrzucić z serca jeszcze jeden ciężar. Czuję się winny okrutnej śmierci wróżki Okalicy. Trudno mi z tym żyć.
- Mam pomysł dobry na twój frasunek - odrzekł Jakub, bo takie właśnie imię nosił pomocnik kowala.
- Wykopmy potężny rów i połączmy go z rzeką Łebą. Niechaj stanie się on korytem rzeki o jej imieniu.

***

Minęły wieki. Lębork wciąż pięknieje. Nieustannie coś się zmienia. Istnieją jednak zakątki, przypominające dawne historie. Okalica płynie leniwie wraz z dostojną Łebą. Na wzniesieniu w Parku Chrobrego znaleźć można niewielką polanę, na której nie wyrosła dotąd żadna roślina, nawet kępka trawy, mimo że wokoło jest

mnóstwo zieleni. Mówi się, że tam właśnie została spalona przez Krzyżaków kobieta, zajmująca się wróżbą i magią. W podziemiach zamku krzyżackiego zdarza się słyszeć jęki i brzęk łańcuchów, a duch Konrada snuje się w korytarzach zamkowych.

Podobno raz na sto lat, w rocznicę rzucenia zaklęcia na piękne młynarki, czar przestaje działać na jedną godzinę od wybicia północy. Rodzina spotyka się wówczas w Domu Młynarza, tam gdzie zamieszkiwała w krótkim, acz szczęśliwym okresie swojego życia.

Jeśli Drogi Czytelniku będziesz przypadkiem przechodził obok fontanny, a nie zobaczysz na niej żabek, znaczyć to będzie, że trafiłeś na ten właśnie moment. Podejdź wówczas pod Dom Młynarza, a ujrzysz światła w oknach domu, usłyszysz radosne głosy córek i ich ojca oraz pracujący młyn. Nie czekaj jednak zbyt długo, gdyż minie godzina, a zaklęcie odzyska moc. Na powrót odezwie się lament zrozpaczonego ojca, żegnającego się z córkami. By je ujrzeć i cieszyć się ich obecnością przez jedną godzinę, będzie musiał czekać cały wiek.

Kręci się młyńskie koło
Historia kołem się toczy
Lęborska legenda
O żabkach z fontanny
Tak właśnie się kończy

Legendę ilustruje:

Społeczna Językowa Szkoła Podstawowa LTO

Autor: Artur Kamieniecki

Tytuł: Skarb ducha

- Ratunku, ratunku, puszczaj!

Im mocniej się szarpałem, tym pędy mocniej zaciskały się wokół moich rąk i nóg. Tułów oplatały gałęzie grube i łykowate. Nie mogłem się poruszać. Łodygi pełzły do moich ust, zatykając je liśćmi. Byłem w pułapce. Ogarniało mnie przerażenie. Strach paraliżował mój umysł. Krople zimnego potu spływały po czole, serce łomotało, mięśnie dygotały z wysiłku.

- Wyrwać się, wyrwać ze szponów tej rośliny. Za chwilę ona mnie udusi! - Nie mogłem już złapać tchu. Zamilkłem.

Po co dałem się namówić na tę wycieczkę? Dziś w szkole Arek opowiadał o skarbie ukrytym w grobowcu rodu von Grelle w parku za pałacem w Łebuni. Powiedział mu o tym dziadek remontujący dworek. Wieczorem pojechaliśmy rowerami poszukać skarbu. Zawsze jak wybiorę się na wycieczkę z Arkiem, to spotykają mnie dziwne przygody.

A teraz co? Siedzę w jakiejś dziurze, wciągnięty przez olbrzymi bluszcz, który chce mnie udusić. Znowu szarpnąłem dłońmi. Pędy ciasno oplatały moje nadgarstki, nie wydostanę się bez pomocy.

- Arek, Arek - wrzeszczałem wniebogłosy, ale mnie nie słyszał. Rozstaliśmy się w parku za pałacem. On szukał grobowca, a ja podszedłem do zielonej ściany. Zaciekawiła mnie ta olbrzymia roślina. Rozpoznałem ją bez trudu, podobny bluszcz obrasta moją altankę w ogrodzie. Poślizgnęła mi się noga, wpadłem w jakąś dziurę, a ta roślina mnie uwięziła. Bezradny, przestałem się szarpać, a więzy nieco poluzowały i wtedy go zobaczyłem. Mglista postać wyłoniła się z kłębowiska łodyg i liści. Właściwie to była część tej rośliny. Włosy wyglądały jak drobne gałązki, ręce - grube konary, zielona twarz patrzyła na mnie dużymi, białymi oczyma. Serce stanęło mi na chwilę. Widzę ducha. Nie mogłem już krzyczeć, siły mnie opuściły, w milczeniu czekałem na śmierć.

- Jestem Duchem Bluszczu, nie bój się, nie zrobię ci krzywdy, jeśli spełnisz moje życzenie - powiedziała zjawa. Nie mogąc wydobyć słowa, kiwnąłem tylko głową.

- Zawieziesz ten skarb do Lęborka. Złożysz go pod piątym kamieniem licząc od trzeciego rogu Baszty Bluszczowej. Uczynisz to w ciemną deszczową noc. Rozumiesz?

- Tak - szepnąłem.

- Jeśli nie dokonasz tego czynu, to ostrzegam, nie zbliżaj się już do bluszczu, pod żadnym pozorem.

Już sobie wyobraziłem, jak ta roślina oplata moją szyję i powoli dusi. - Zrobię to, zrobię! - krzyknąłem.

- Niech tak się stanie, a wtedy spełni się moje największe marzenie. Skarb ukryty pod moim sercem nabierze wielkości, strzeli ku niebu, będzie błyszczał. Znów będzie podziwiany przez ludzi. Stanie się domem i pokarmem dla istot malutkich.

Dziad przebrzydły wypowiedział te słowa i zniknął. Pędy bluszczu cofnęły gałązki, odpełzły od moich dłoni i kostek. Byłem wolny. Wystrzeliłem jak z procy z dziury. Arek szukał mnie nieopodal.

- Co ty, Artur, taki wystraszony? Ducha zobaczyłeś, czy co?

Serce tak łomotało mi w piersi, myślałem, że za chwilę wyskoczy. Na szczęście było już ciemno, zaczął padać deszcz, Arek nie widział dokładnie mojej twarzy. W dłoni trzymałem mały pakuneczek utworzony ze zwiniętych liści bluszczu.

- Artur, wracajmy. Ciemno jak w grobie, nic dziś już tu nie znajdziemy i jeszcze deszcz coraz większy.

Pedałowaliśmy szybko, rozpadało się na dobre, było późno, ciemność zalewała ulice. Arek skręcił do domu, a mi dźwięczały w uszach słowa ducha - Pod piątym kamieniem, licząc od trzeciego rogu, Baszty Bluszczowej ...

- Chwila, chwila, przecież to już prawie noc, pada deszcz, może mogę dzisiaj ... Zawróciłem w kierunku murów

obronnych. Jak chciał dziad, bez trudu wyjąłem piąty kamień. Włożyłem tam skarb, przykryłem go i odjechałem nie oglądając się za siebie. Nie otworzyłem zawiniątka, nie zajrzałem do środka, zbyt się bałem.

Minął tydzień od wycieczki do Łebuni. Wciąż myślałem o skarbie Ducha Bluszczu. Co ja schowałem pod piątym kamieniem? Każdego dnia nie mogłem zebrać myśli, nie mogłem skupić się na nauce w szkole. Dostałem nawet jedynkę z dyktanda. Myślałem tylko o zawiniątku, które schowałem przy Baszcie Bluszczowej. Duch kazał mi zanieść tam skarb, ale nic nie mówił o tym, że nie mogę do niego zajrzeć. Co było w tym małym pakunku? Że ja taki głupi i nie sprawdziłem, nie mogłem sobie tego darować. Pakunek był mały, lekki, złota tam być nie mogło, najwyżej dwie monety, a może klucz i mapa do skarbu rodu von Grelle, o którym mówił dziadek Arka. Nie wytrzymam, pojadę, popatrzę, chociaż z daleka, może tylko zajrzę pod kamień? Jeszcze raz dotknę zawiniątka, czy jest tam klucz?
Po dwóch tygodniach, blady ze strachu, stanąłem przed Basztą Bluszczową.
Pot znowu zalewał mi oczy. Serce łomotało, coś ściskało mnie za gardło. Powoli podchodziłem w stronę piątego kamienia i trzeciego rogu. Ludzie przechodzili obok, nikt nie zwracał uwagi na to co działo się pod basztą, a ja stałem wpatrzony, na trzęsących się nogach na ... MALEŃKĄ ROŚLINKĘ. Spod piątego kamienia wątły pęd piął się ku górze. Jasnozielone listki błyszczały w słońcu. Roślinka z trudem chwytała się wystających cegieł. TO BYŁ BLUSZCZ! POSADZIŁEM BLUSZCZ!
Strach odleciał w mgnieniu oka. Teraz zrozumiałem, co było skarbem Ducha Bluszczu, co było jego marzeniem. Zrozumiałem, co nabierze wielkości, strzeli ku niebu, co znów będzie podziwiane przez ludzi, co stanie się domem i pokarmem dla istot malutkich. Baszta Bluszczowa porośnie bluszczem - tak jak przed laty.

Legendę ilustruje:

Zespół Szkolno-Przedszkolny w Bukowinie

Autor: Agata Kankowska

Tytuł: Legenda Błękitnej Krainy

Dawno, dawno temu, w Lęborku żył pewien starszy mężczyzna. Nazywał się Mieszko i miał trzech synów. Najstarszy z nich nazywał się Roland i był bardzo samolubny i próżny. Młodszy od niego Zbyszko był chciwy. Najmłodszy z synów nazywał się Bolesław. Był uczynny i wrażliwy na ludzką niedolę.

Pewnego dnia Mieszko poczuł, że niewiele mu jeszcze zostało życia na tym świecie, ale nie wiedział, któremu z potomków ma przepisać swój dobytek. Myślał nad tym przez długi czas, aż wreszcie wpadł na pewien pomysł. Postanowił dać synom zadanie, a ten, który najlepiej je wypełni otrzyma w spadku cały majątek i na jego cześć posadzony zostanie dąb.

Następnego dnia powiedział swoim synom: Pojedźcie w świat i przywieźcie mi coś, na czym wam najbardziej zależy.

Tak więc wyruszyli w świat. Gdy minęło pół roku, wrócili ze swoimi skarbami do domu ojczystego. Pierwszy pokazał ojcu swoją zdobycz Roland. Ojciec się go zapytał: „Dlaczego wybrałeś akurat to?". A on odpowiedział: „Wybrałem i przywiozłem ci mój ojcze to ogromne lustro, ponieważ uwielbiam się w nim przyglądać sobie i podziwiać mą urodę". A Mieszko pokręcił w zawiedzeniu głową i powiedział: „Odejdź! Najbardziej ci zależy na sobie, a nie na innych, więc nie dostaniesz mego dobytku".

Drugi poszedł do ojca Zbyszko, a rodzic zadał mu to samo pytanie. On odpowiedział: „Ojcze, najważniejsze są pieniądze i władza, więc podbiłem małą wioskę. Zabrałem wszystkie kosztowności i wartościowe przedmioty. Od teraz ja jestem jej władcą!". Mieszko znów pokręcił zawiedziony głową i powiedział: „Odejdź! Zależy ci tylko na pełnej kieszeni i koronie na głowie. Nie zależy ci na uczuciach drugiej osoby, więc nie dostaniesz mego skarbu".

Najmłodszy syn Bolesław przestraszył się trochę, bo widział odchodzących ze smutkiem braci, ale podniósł wysoko głowę i ruszył do rodziciela z myślą: „Raz kozie śmierć!". Gdy znalazł się przed ojcowskim obliczem, Mieszko zadał mu to samo pytanie co jego poprzednikom. On odpowiedział: „Ojcze mój kochany! Narzeczoną ci moją przywiozłem. Widziałem jak została napadnięta przez rabusiów, chociaż i tak nie miała nawet złamanego grosza przy sobie. Uratowałem ją i gdy ujrzałem jej śliczną twarzyczkę, zakochałem się od razu". A wzruszony Mieszko wykrzyknął: „Tobie przekażę cały swój dobytek i drzewo na chwałę twoją posadzę! Ty, jako jedyny z mych potomków jesteś wrażliwy na ludzkie nieszczęście! Ty, który mogłeś mieć wszystko, a przywiozłeś mi piękną istotę!". Po tych słowach zaczął płakać.

Nazajutrz ojciec posadził mu dąb niedaleko ich domu i przepisał wszystko w testamencie. A po kilku miesiącach odbyło się wesele Bolesława z jego narzeczoną Lilią. Mieszko szczęśliwy przeżywał te chwile. Po kilku dniach od ślubu ojciec odszedł z tego świata. Lila i Bolesław żyli długo i szczęśliwie. A drzewo nazwane zostało imieniem dobrego syna Mieszka. Do dzisiaj można zobaczyć majestatyczny dąb Bolesława w miejscu, w którym zasadzono go wieki temu.

Legendę ilustruje:

Szkołą Podstawowa w Cewicach

Autor: Zuzanna Mućka

Tytuł: Legenda o skarabeuszu i szklanej rybce

Historia ta wydarzyła się w zamierzchłych czasach, kiedy ludzie przemieszczali się z miejsca na miejsce. Poszukiwali urodzajnych ziem, aby je uprawiać, lasów, w których znajdą pożywienie i schronienie. Podróżowali konno lub pieszo całymi rodzinami, zakładali osady czasem tylko na lato albo na zimę, a czasem na kilka lat.

Możemy się tylko domyślać, dlaczego wódz plemienia Kisewian i Łebian postanowił osiedlić się właśnie tu. Może zachwyciły go lasy pełne wiekowych drzew, zwierzyny i owoców? A może malownicza dolina rzeki Łeby i jej siostry Kisewskiej Strugi? Wioskę posadowiono przy niewielkim, ale górującym nad terenem wzgórzu. Pobliże lasu i połyskująca w dole rzeka wydawały się miejscem idealnym do szczęśliwego życia na klika dobrych lat.

Wódz był człowiekiem mądrym i sprawiedliwym, ludzie go bardzo szanowali. Miał piękną żonę i małego bystrego synka, który miał zostać jego następcą. Wódz często wyruszał ze swymi poddanymi w długie, dalekie wyprawy, obserwował jak urządzone są inne kraje, aby móc się czegoś od nich nauczyć.

Z jednej z takich podróży do dalekiego kraju położonego na olbrzymiej pustyni, nad wielką rzeką przywiózł niespotykane i niewidziane dotąd w tych stronach skarby. Były to prezenty dla rodziny. Dla synka niebieski amulet w kształcie małego skarabeusza, a dla żony perfumy w szklanej butelce w kształcie rybki. Mieszkańcy osady nigdy nie widzieli takich przedmiotów i czuli przed nimi strach, jak przed każdą nowością. Było dla nich niepojęte, że ludzką ręką można coś takiego wykonać. Uważali, że muszą za tym stać jakieś nieczyste moce.

Wyruszając się na jedną z kolejnych długich wypraw wódz powierzył opiekę nad swoją rodziną oraz osadą zaufanemu doradcy i przyjacielowi - szamanowi. Podczas jego nieobecności czarownik postanowił przejąć władzę - od dawna był zazdrosny o piękną żonę, rodzinę, miłość poddanych; a ponad wszystko pragnął rządzić.

Przekonywał ludzi, że wszelkie niepowodzenia i nieszczęścia w wiosce są spowodowane zaczarowanymi przedmiotami obcego pochodzenia - tajemniczym żuczkiem skarabeuszem i pachnidłami w szklanej rybie, które na pewno rzuciły klątwę na wioskę, ludzi i są przyczyną wszystkich kłopotów oraz chorób...

Podstępnie uknuł zdradziecki spisek i pod osłoną nocy zamordował żonę wodza i jego synka. Ciała pochował na dwóch krańcach osady, daleko od siebie, z przedmiotami, które przyniosły im zgubę. Do grobu chłopca wrzucono skarabeusza, a matki szklaną buteleczkę w kształcie ryby. Podczas pełni księżyca czarownik wykrzyczał w niebo klątwę

- Oby wasze dusze w życiu pozagrobowym nigdy się nie połączyły. Tylko jedna rzecz może znieść klątwę - kiedy w zaświatach skarabeusz połączy się ze szklana rybą! Czyli NIGDY! - i zaśmiał się złowieszczo.

Prości ludzie byli przerażeni. Bali się czarnoksiężnika, obawiali klątwy.

Kiedy wódz wrócił z wyprawy, przegonił szamana z wioski i próbował dowiedzieć się, gdzie zostali pochowani jego bliscy. Nikt jednak nic potrafił mu pomóc... Nigdy nie pogodził się z tym, że w tak okrutny sposób zginęli i że zdradził go najlepszy przyjaciel. W każdą noc przychodził na cmentarzysko i prosił duchy drzew, kamieni, wody i gwiazd, aby pomogły mu połączyć się z kochanymi osobami. Nie wiedział jak zdjąć klątwę. Pewnej nocy wykrzyczał w niebo

- Będę was wiecznie szukał, będę czekał za życia i po śmierci, choćby ponad tysiąc lat! - i zrozpaczony popełnił samobójstwo.

Minęło tysiąc lat. Fajansowy skarabeusz spoczął przy szklanej rybce w gablocie w lęborskim muzeum. Klątwa została pokonana i błąkające się dusze nareszcie mogły się połączyć...

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Garczegorzu

Autor: Mateusz Kamieniecki

Tytuł: Tajemnica Niebędzińskiej Góry

W maleńkiej osadzie u podnóża wysokiej góry mieszkał sobie spokojny chłopski lud. Ciężko im się żyło. Nieurodzajna ziemia dawała słabe plony, nierówny teren, liczne bagna, podtopione pola utrudniały uprawę roli. Ludzie często głodowali. Mieszkał tu chłop Lębor ze swoją rodziną. Dobry był to człowiek, pomagał wszystkim, dzielił się plonami. Zawsze darował ubogiej rodzinie worek pszenicy by uratować ich przed głodem. Lębor sam ciężko pracował, ale nigdy nie odsyłał nikogo w potrzebie.

Wieś, choć z pozoru spokojna, skrywała w sobie tajemnicę. Nie było tygodnia, by komuś z kurnika nie zginęły jajka. Ktoś zabierał zapasy zboża ze stodoły. Ginęły gęsi z podwórka. Nie wiadomo jak, przepadały świnki z chlewika. Jakby tych kradzieży było mało, to jeszcze ktoś wyczyniał złośliwe żarty. Krowy zamieniały się oborami, znikało suszące się pranie a woda w studni przybierała niebieską barwę. Od czasu do czasu mieszkańcy widzieli tych psotników. Małe krasnoludki na króciutkich nóżkach szybko uciekały przed ludźmi, a każda próba ich schwytania nie udawała się. Złodziejaszki zawsze znikali u podnóża wysokiej góry za osadą, a wraz z nimi przepadały plony, hodowane zwierzęta, różne rzeczy mieszkańców wioski.

Pewnego lata ciągle padały deszcze i wiały silne wiatry. Zebranych plonów ledwo wystarczało. W rodzinie Redziaków nie było już zboża, ojciec poszedł po pomoc do Lębora. Gdy ten, otworzył swoją stodołę, zobaczył puste miejsce po workach pszenicy i nie wytrzymał. Gonił uciekające krasnoludki do podnóża góry, ale jak każdy mieszkaniec wioski i on ich nie zdołał złapać. Zły zacisnął dłoń w pięść i wymachując nią krzyczał:

- NIE BĘDZIE nikt w mojej wiosce zboża kradł!
- NIE BĘDZIE już nikt świnek uprowadzał!
- NIE BĘDZIE już nikt wody w studni malował!
- NIE BĘDZIE już nikt psotów i żartów czynił!
- NIE BĘDZIE już was tu krasnoludki z nami !
- I nawet tej góry już tu NIE BĘDZIE !

Krzyki zbudziły śpiącego Światowida. A wielki to był pan, miał dużą moc. Potrafił słońce zaświecić i gwiazdy zapalić. Władał wiatrem i deszczem. Najpierw chciał ukarać Lębora za te wrzaski u podnóża góry, ale gdy przysłuchał się dokładniej, pomyślał:

- Pomogę mu, ja też mam już dość tych psotnych krasnoludków.

No i zaczęło się. Wiatr zawył, ziemia zadrgała. Góra zadygotała. Olbrzymie głazy zaczęły spadać po zboczach, kamienie toczyły się z hukiem w dół. Okoliczna ziemia z pagórków i dolin stała się urodzajną równiną. Lębor stał z otwartymi ustami, uniesioną pięścią, zdziwiony swoją ogromną mocą. Z wysokiej góry pozostał stumetrowy pagórek. Kamienie i ziemia dokładnie przykryły jego zbocza. Wrota do krainy krasnoludków zostały bezpowrotnie zasypane, a skrzaty uwięzione na wieki.

Od tamtych wydarzeń minęło wiele, wiele lat. Ludzie na cześć dobrego chłopa Lębora-wybawcy osadę zaczęli nazywać Lęborkiem. Ziemia wokół wioski stała się urodzajną równiną. Ludzie już nie głodowali, a pagórek z zasypanymi skrzatami, na pamiątkę krzyków Lębora nazwano Niebędzińską Górą, która po dziś dzień góruje na styku wsi Redkowice, Pogorszewo, Janowiczki.

Tylko, od czasu do czasu jakiś śmiałek z łopatą udaje się w okolicę Niebędzińskiej Góry i kopie, i kopie, kopie w poszukiwaniu krasnoludków i ich ogromnych skarbów. Czy warto ich szukać? Może lepiej , gdy ich z nami NIE BĘDZIE.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Leśnicach

Autor: Anna Zielińska

Tytuł: Legenda o Jeziorze Lubowidzkim i Błękitnej Krainie

Dawno temu na skraju Lęborka mieszkał biedny chłopak, który nazywał się Lubowid. Miał on piękną, lecz nieuczciwą żonę. Nazywała się Dobrowoja. Oszukiwała swojego męża, a on zaślepiony miłością, przebaczał jej za każdym razem. Czuł się z tym źle, jednak tłumaczył sobie, że nie może z tym nic zrobić. Bał się samotności. Bardzo często rano wybierał się na długie spacery poza miasto. Gdy był dzieckiem, matka wyrzuciła go pewnego razu z domu, bo nie chciał pomagać w uprawie roli. Zapłakany długo się błąkał, aż nagle znalazł tajemnicze jezioro. Od tamtej chwili było to jego ulubione miejsce. Zawsze, gdy czuł się nieszczęśliwy, szedł nad jezioro, żeby pozbierać myśli i się zrelaksować. Wtedy, przez przynajmniej kilka chwil, był wolny i niezależny.

Pewnego razu, gdy wrócił znad swojego miejsca spokoju i skupienia, zobaczył Dobrowoję, która pakuje swoje rzeczy.

- Co robisz? - spytał.

- Wyprowadzam się. Znalazłam sobie lepszego męża, który zapewni mi godne życie - to powiedziawszy z pogardą wyszła. Wtedy Lubowid widział ją ostatni raz.

Zrozpaczony wybiegł z domu i pobiegł nad jezioro. Płakał nad swoim losem i nad życiem. Nie mógł zrozumieć, czemu spotykają go takie niemiłe rzeczy. W końcu zmęczony płaczem, zasnął. Obudził się w nocy. Na dworze było już ciemno. W jeziorze odbijał się blask księżyca w pełni. Otaczały go chwasty, szuwary, krzaki i drzewa. W ciemnościach wyglądały strasznie. Lubowid nigdy przedtem nie był tutaj o tak późnej porze.

Nagle jeziorko zaczęło bulgotać. Woda zrobiła się błękitna. Blask księżyca rozświetlił wszystko wokół. Krzaki i drzewa zmieniły się w piękne zaczarowane kwiaty. To miejsce było w tamtym momencie takie magiczne... Lubowid nie wiedział, co się dzieje. Myślał, że całe to zamieszanie to tylko sen. Jednakże mylił się. Wszystko było najprawdziwszą rzeczywistością. Woda w jeziorze zrobiła się taka piękna... Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, by wszedł do niej. Chłopak jednak nie był przekonany, co do tego pomysłu.

Gdy podziwiał tak to niezwykłe i fascynujące zdarzenie, z jeziora wyszła zjawa. Była to najpiękniejsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widział.

Miała w sobie tyle gracji i wdzięku. Lubowid od razu się w niej zakochał.

- Witaj, nazywam się Eris. Jestem strażniczką tego miejsca. Zawsze widzę, jak tutaj przychodzisz. Zdążyłam cię już poznać, Lubowidzie.

- To wszystko jest takie niesamowite - powiedział szeptem chłopak. Nadal był w szoku.

Dziewczyna podeszła do niego bliżej. On zrobił krok ku niej i spojrzał w piękne błękitne oczy. Księżyc już powoli chował się za horyzont. Pocałowali się. Lubowid postanowił pójść razem z Eris. Dziewczyna nie mogła zostać na powierzchni, gdyż bez niej jezioro przestałoby istnieć. Para, trzymając się za ręce, weszła do wody. Zniknęli w przecudownym błękicie toni jeziora.

Od tamtej pory miejsce to nazywa się Lubowidz - na cześć biednego chłopaka, który razem z Eris strzeże podwodnych głębin. Raz w roku, gdy jest pełnia, jezioro zaczyna bulgotać, a zakochana para w blasku księżyca wychodzi na powierzchnię. Ale kiedy można ich spotkać, tego nikt nie wie.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Łebie

Autor: Mateusz Kamieniecki

Tytuł: O tym jak Baszta Bluszczowa straciła swoją sukienkę

Ach, jaka jestem piękna! Taka strzelista, smukła, wysoka. Jestem mocna i stabilna. Pewnie stoję na mojej podstawie czworoboku wmurowana wręcz w lęborską ziemię. Wyżej, te nędzne ludziki zbudowały moją smukłą sylwetkę w postaci ośmioboku. Też mi się to podoba. Przez okna patrzę na wszystkie strony świata, mogę się bronić przez otwory strzelnicze. Jestem jedyna w swoim rodzaju. Żadna z moich sióstr, starożytnych baszt, nie ma tak pięknego ciała. Jest nas 32, połączone murem obronnym, trzymamy się razem, splecione ręce spajają nas w zaklęty krąg broniący miasta Lęborka.

Nikt nie zaprzeczy, że to ja jestem najwspanialsza. Wszystkie siostry zazdroszczą mi mojej budowy. Inne baszty nie są tak wspaniałe, no choćby ta Baszta Kwadratowa, taka zwykła prostokątna. Cegła jej zawilgotniała. Obrzydlistwo! A ta Bocianie Gniazdo - toż to ruina! Cegły jej wypadają, tynk się sypie, całkowicie straciła swój blask. Nawet ten nędzny naród człowieczy nie chce jej odbudować. Choć ich nie znoszę, to tu muszę przyznać im rację. Po co mi konkurencja, niech Bocianie Gniazdo się rozpada.

Już niedługo królewski bal. Wszystkie baszty, wieże i bramy się na niego szykują. Będziemy tańczyć z zamkami, pałace stroją swoje fasady, dwory też mają nadzieję być zaproszone. Jestem zauroczona zamkiem krzyżackim. Jest taki silny, potężny i mocny. Potrafi obronić miasto. Mam nadzieję, że mu się spodobam. Co mi tam pałac z Runowa, zameczek z Nowęcina, dworek z Poraju - to wszystko maleństwa. Zamek krzyżacki - to królewicz!

Na bal czekam z niecierpliwością, to już niedługo. Przygotowałam na tę okazję najpiękniejszą sukienkę. Zieleń - symbol nadziei na lepsze jutro. Sukienka z bluszczu leży na mnie jak ulał. Uszyła mi ją na miarę Matka Natura. Bluszcz dokładnie otacza każdą moją cegiełkę. Ten symbol wiecznego życia dodaje mi blasku i odmładza mnie. Tylko ja mam taką sukienkę. Pozostałe moje siostry z zazdrości aż pękają. Sypie się z nich piach i pył. One mają tylko ceglasto-szare suknie. Podarte, pozaciągane biegiem czasu. Tylko mnie Matka Natura pokochała i obdarowała bluszczem. Muszę spodobać się zamkowi.

U moich stóp żyje nędzny ludzki ród. Choć to oni kiedyś zbudowali wszystkie mnie i moje siostry nie darzę ich specjalnym szacunkiem. Ludzie są mali, słabi, nędzni. Chorują i umierają. Muszą pracować by zdobyć pożywienie, uprawiać ziemię, hodować zwierzęta, przeciwstawiać się deszczom i wiatrom, mrozom i słońcu. A wreszcie muszą dbać o mury, baszty, zamki i pałace, by te dawały im schronienie. To my, baszty jesteśmy wieczne.

***

Gdy lęborskie baszty oczekiwały na swój królewski bal przyszły na mieszkańców miasta ciężkie chwile. Na lęborskiej ziemi panował nieurodzaj, głód szczerzył swoje zęby. Ludzie chorowali, słabli i marnieli. Lęborski młyn nie mielił już zboża, zbiory były tak słabe, że zabrakło mąki na chleb. Jakaś choroba ogarnęła mieszkańców Lęborka. Nieustanny kaszel dokuczał każdemu. Dorośli i dzieci kaszleli, kaszleli, kaszleli. Dolegliwość ta nie pozwalała im pracować, nie mogli uprawiać roli, hodować bydła.

Lęborski lekarz, jedyny w okolicy, łamał sobie głowę jak pomóc mieszkańcom. Robił różne mikstury i napary. Nic nie pomagało. Ludzie kaszleli i słabli. Pewnego dnia szedł zrezygnowany do Sanktuarium św. Jakuba, by prosić Boga o pomoc, pod nogi upadł mu niesiony wiatrem liść bluszczu. Lekarz podniósł go z namysłem i... Syrop zrobiony z liści bluszczu zaczął podawać mieszkańcom Lęborka. O dziwo, zadziałał! Kaszel zmniejszał się i ustępował, a ludzie odzyskiwali siły. Natomiast Baszta Bluszczowa zaczęła tracić swoje okrycie. Najpierw zerwano dolną falbanę sukni, potem pojawiły się dziury w rękawach, aż w końcu wszystkie liście z Baszty Bluszczowej zostały oberwane. Lęborczanie stali się zdrowi i silni. Uporczywy kaszel już nie utrudniał życia, ale

cała suknia baszty została zerwana. Matka Natura poświęciła bluszcz dla ratowania mieszkańców Błękitnej Krainy.
Zarozumiała Baszta Bluszczowa już nigdy nie odzyskała swojej sukienki. A królewski bal? W tych okolicznościach też się nie odbył. Ale może kiedyś lęborskie baszty, wieże, bramy, zamki, dwory, pałace doczekają się królewskich tańców.

Legendę ilustruje:

Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łebieniu

Autor: Antoni Kamiński

Tytuł: Legenda o białej damie w zamku w Nowęcinie

Dawno, dawno temu, kiedy wzburzone wody Morza Bałtyckiego zalały zamek w Starej Łebie, mieszkający tam król przeniósł swoją siedzibę w miejsce bardziej bezpieczne, na południowo-zachodni brzeg jeziora Sarbsko. I tak powstała osada, zwana Nowym Dworem, od której pochodzi obecna nazwa wsi Nowęcin.

Było to niezwykle urokliwe miejsce na ziemi. Zamek stał na niewielkim wzniesieniu i otoczony był ze wszystkich stron głębokimi fosami i mocnymi wałami. Tuż obok rozciągał się przepiękny park, w którym rosły przeróżnych kształtów drzewa i krzewy. Sam budynek zamku był bardzo okazały. Były w nim dwa piętra, a nad nimi górowała sześciokondygnacyjna wieża zakończona krzyżem.

Król i królowa wiedli spokojne życie królewskie. Wokół nich było zawsze dużo służby, a poddani oddani byli im całym sercem. Król bowiem był dobrym człowiekiem, dbał o swój lud i zawsze pomagał potrzebującym. Jego wielką pasją były konie. Obok swojego zamku rozkazał zbudować wielką stajnię, w której hodował konie przeróżnej maści i rasy. Z czasem jednak miłość do tych zwierząt zawładnęła jego całym życiem. Zaczął zaniedbywać obowiązki królewskie, a także królową, która spędzała samotnie długie wieczory, czekając na powroty swojego męża. Kochała go bowiem bezgranicznie i nie wyobrażała sobie życia bez niego. Marzyła też potajemnie o potomstwie, lecz los nie był dla niej łaskawy. Z każdym dniem była więc coraz bardziej smutna, przestała nawet jeść i całkowicie opadła z sił.

Król, który początkowo wcale nawet nie zauważył, że z jego żoną dzieje się coś złego, przestraszył się nie na żarty. Zaczął sprowadzać medyków z bliska i z daleka, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, co dzieje się z królową. Aż pewnego dnia, król będąc na przejażdżce konnej nad morzem spotkał starego wędrowca, któremu opowiedział o chorobie swojej żony i swoim zmartwieniu. Wędrowiec był bardzo mądrym człowiekiem, po krótkiej rozmowie od razu zorientował się, co dolega jego żonie.

- Królową może uratować tylko prawdziwa miłość - powiedział staruszek. - Niepotrzebne są jej żadne leki, żadni medycy. Królowa potrzebuje bliskości człowieka, którego kocha, zwykłej codziennej rozmowy, a na pewno nabierze sił i energii do życia - dodał wędrowiec.

Wtedy dopiero król zrozumiał, że konie przesłoniły mu cały świat i zapomniał o swojej największej miłości. Gdy wrócił do zamku prosto poszedł do komnaty, gdzie leżała królowa, mocno ją przytulił i pocałował. Od tego dnia spędzał z nią każdą wolną chwilę. Czytał jej baśnie, a także dużo i ciekawie opowiadał o koniach, a królowa z każdym dniem nabierała sił i była coraz bardziej wesoła.

Pewnego niedzielnego poranka król widząc, że królowa jest już całkiem zdrowa, postanowił zabrać ją na wycieczkę bryczką do pobliskiego jagodowego lasu. Królowa była przeszczęśliwa. Zaprzągł najładniejsze konie, jakie miał w swojej stajni i przytuleni ruszyli w drogę. Dzień był naprawdę piękny. Ciepły powiew wiatru delikatnie pieścił ich twarze, na których malował się uśmiech. Nagle i niespodziewanie w gąszczu drzew zobaczyli ogromną watahę rozwścieczonych wilków. Przerażone konie bez opamiętania ruszyły przed siebie, a wilki za nimi. W tym momencie na niebie ukazała się duża, jasna łuna. z której wyłoniła się postać Białej Damy. Wilki przestraszone zrezygnowały z pogoni, a konie bezpiecznym galopem wróciły z powozem do stajni. Stajenni wydostali z bryczki nieprzytomnego króla. Niestety królowej w niej nie było.

Kiedy król oprzytomniał, zrozpaczony wrócił do lasu w poszukiwaniu swojej żony. Niestety nigdzie jej nie było...

Jak głosi legenda królowa swoje życie poświęciła ratując męża. To właśnie siła jej bezgranicznej miłości sprawiła, że zamieniła się w Białą Damę i wystraszyła wilki, a sama rozpłynęła się w przestworzach.

Do dziś na wieży zamku w Nowęcinie mieszka Biała Dama, która rozpala miłość w ludzkich sercach i broni wieś przed niebezpieczeństwem.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Łebuni

Autor: Zuzanna Mućka

Tytuł: Legenda o zielarce z Witoradza

Na wschodzie miejscowości zwanej Witoradzcm na rozległych podmokłych łąkach, które przecina rzeka Łeba mieszkała zielarka Erna. Miała skromną małą chatkę, uprawiała ogród, w którym rosło kilka drzew owocowych i krzewów. Można było ją spotkać na łąkach i w lasach wczesnym rankiem, kiedy zbierała zioła i kwiaty o wschodzie słońca. Albo wieczorem, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi i zioła pachniały najmocniej. Ema starannie je segregowała, wiązała w małe miotełki, suszyła na słońcu, rozdrabniała w moździerzu, robiła lecznicze napary, maści i oleje. Do jej domu bez trudu można było trafić, u wejścia rosły dwa potężne dęby, które pamiętały jeszcze prababcię Emy. Dbała nie i bardzo szanowała, jak wszystkie drzewa. Niejedna nalewka i maści powstały z ich żołędzi, kory dębowej i liści.

Erna była piękną dziewczyną. Miała długie miedziane włosy, duże zielone oczy widzące więcej niż zwykły śmiertelnik. Potrafiła uleczyć nie tylko ciało, ale także duszę. Ludzie przychodzili do niej i z dolegliwościami cielesnymi, i z bólem serca po zawiedzionej miłości, powierzali jej wszystkie swoje zmartwienia. Jak nikt inny Erna potrafiła wysłuchać i pokrzepić dobrym słowem. Do jej małego domku chętnie zaglądały dzieci łase na przysmaki z miodu i owoców. Kiedy szła ze swym koszykiem zbierać zioła i leśne owoce, jej lekka sylwetka niemal płynęła nad ziemią. Miała wielkie serce dla ludzi i zwierząt. W jej obejściu niczym w małym przytulisku zawsze był jakiś pacjent - a to-sarna ze zwichniętą nóżką, a to sowa ze złamanym skrzydłem.

Z pomocy Emy korzy stali nic tylko mieszkańcy Witoradza i Chocielewa, ale również okolicznych wiosek. Nawet w środku nocy potrafili przyjechać po pomoc do zielarki chorzy z pałacu w Lischnitz, z majątku Neuendorf, Rettkewitz, a nawet z odległego Lauenburga. Nikomu nie odmówiła pomocy. Leczyła tym co sama zrobiła, doskonale znała działania swoich ziół i syropów. Zawsze wzbraniała się przed nazywaniem jej lekarzem, medykiem czy znachorem. Mawiała, że nie używa tajemnych mocy i zaklęć do uzdrawiania ludzi i zwierząt - "ja tylko pomagam, korzystam z tego co daje las. łąka i woda, a to nieprzebrane bogactwo."

Witoradzem i Chocielewem zarządzał w tym czasie hrabia Witt - zarozumiały, chciwy i okrutny dla swoich poddanych. Uważał siebie i swoją rodzinę za lepszych od innych ze względu na wielki majątek i wykształcenie. Zdecydował nawet o tym, że jego rodzina i bliscy nie będą nigdy grzebani w tej samej ziemi co prości chłopi z podległych mu wiosek. W tym celu na wzgórzu, z którego rozpościerał się piękny widok na łąki i dolinę rzeki Łeby, zbudował kamienną kaplicę, do której nie miał wstępu nikt poza rodziną i bogatymi krewnymi. Nazwał ją Górą Kapliczną i tam kazał ziemię poświęcić pod "cmentarz dla wybranych".

Jedyny syn hrabiego Witta - Erik był niestety kopią ojca. Uwielbiał krwawe polowania, gardził ludźmi i nie szanował zwierząt. Pewnego wiosennego wieczoru wyruszył na przejażdżkę na swym karym koniu. Na pobliskich łąkach dla rozrywki strzelał do młodych przerażonych lisków. Świetnie się bawił, jego śmiech odbijał się echem od ściany lasu. Nagle spod kopyt wierzchowca zerwała się do lotu wystraszona czajka. Koń stanął dęba i nieuważny jeździec spadł. Raniąc się boleśnie w głowę stracił przytomność, a spłoszony koń pognał przed siebie na bagna.

Tego samego wieczoru Erna zbierała na łąkach świeże zioła macierzanki i rumianku. Rozpoznała w znalezionym rannym znienawidzonego przez okolicę Erika i z trudem zawlokła go do swojej chatki. Opatrzyła rany na głowie, które okazały się nie tak groźne na jakie wyglądały. Czuwała przy nim całą noc a o świcie Erik odzyskał przytomność. Niewiele pamiętał ze swojej wieczornej wyprawy. Jednak wskutek wypadku musiał leżeć i pozostać pod opieką dziewczyny, czy tego chciał czy nie. Cały dzień Ema opowiadała mu o tym jak go znalazła, o swoim życiu, o leczeniu ziołami, pomaganiu chorym i o tym, że warto otworzyć serce i pomagać innym.

Tymczasem we dworze zorientowano się, że kary koń panicza powrócił do stajni bez jeźdźca. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania. Kiedy stajenny przekazał rodzinie wiadomość, że Erik żyje i przebywa w domu zielarki Emy, rodzice przyjechali po niego najlepszą karocą zaprzężoną w cztery reprezentacyjne siwe konie. Grzecznie i oficjalnie podziękowali dziewczynie za opiekę nad synem. Nie umknęło uwadze hrabiny i zaniepokoiło ją srodze to, jak młodzi na siebie patrzą. Wciskając w kieszeń fartuszka Emy złotą monetę wycedziła przez zęby "Trzymaj się od niego z daleka, czarownico!"
Jednak Erik nie mógł zapomnieć o pięknej i dobrej zielarce, która uratowała mu życie. Zmienił się, przestały go bawić bale i polowania - zaczął dostrzegać ludzi ubogich i potrzebujących. Inaczej traktował też zwierzęta, miał wrażenie, że każde z nich patrzy na niego oczyma Erny. Rodzice byli przekonani, że zielarka rzuciła na niego czar. "To niedorzeczne - mówiła matka - ta prosta chłopka, czarownica, kto wie jakie zioła ci tam gotowała! Jakie czary odprawiała, co za ciemnota i zabobony! Jeszcze kilka dni i zapomnisz. Wyprawimy wielkie przyjęcie z okazji twego powrotu do zdrowia, na bal przybędzie mnóstwo bogatych panien z okolicznych majątków - to jest towarzystwo dla ciebie mój synu."
Nie mogła zapomnieć także Ema, chociaż rozsądek podpowiadał jej co innego, serce tęskniło do Erika. Młodzi zaczęli spotykać się potajemnie. Niestety hrabia Witt szybko odkrył ich tajemnicę. Zagroził synowi, że jeśli nie zakończy skandalicznego romansu wydziedziczy go i wygna z domu. Słowa te nie zrobiły na młodym mężczyźnie wrażenia. Oświadczył rodzicom, że ponad wszystko kocha Emę i zamierza ją poślubić. Wtedy hrabina wpadła na potworny pomysł - rozkazała pod osłoną nocy zniszczyć dobytek zielarki, ściąć dwa okazałe dęby, a jej dom spalić. Nic miała pojęcia, że tej nocy Erik nie spędzał we dworze...

Dym ze spalonego domostwa długo unosił się nad łąkami i rzeką. W wiosce i okolicy zrobiło się cicho, nawet ptaki przestały śpiewać. Przerażone zwierzęta, które rozpierzchły się na wszystkie strony, co wieczór powracały na miejsce szukając swojej pani. Na próżno. Na pogorzelisku wśród popiołu została tylko złota moneta. Jakże wysoką cenę zapłaciła hrabina.
Chociaż ciał Erny i Erika nigdy nie odnaleziono, wszyscy byli pewni. że młodzi zginęli w płomieniach, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno. Mieszkańcy postanowili w tajemnicy postawić im symboliczne mogiły na cmentarzu w dolnym Chocielewie miejscu pochówku dla ubogich, którym hrabia Witt tak gardził.
Po dziś dzień stoją tam obok siebie dwa kamienne nagrobki w kształcie pni dębowych z pięknymi ornamentami żołędzi i liści - co symbolizuje honor, siłę i niezłomność - cechy, które przypisać można Emie i Erikowi. Mieszkańcy obecnego Chocielewka mówią czasem między sobą szeptem, że widują dwie postacie trzymające się za ręce, snujące się rankiem we mgle lub o zachodzie słońca pomiędzy kościołem, Górą Kapliczną a przydrożnym głazem Bismarcka.
Czy to bajki? Kto nie chce, niech nie wierzy. Historia ta mogła wydarzyć się dawno, dawno temu albo sto lat temu...to bez znaczenia, bo zawsze istnieli ludzie, którzy dostrzegali potrzebujących i wierzyli, że należy pomagać innym bez względu na to czy są bogaci czy biedni. Zawsze też istnieli ludzie o twardych sercach, dla których na pierwszym miejscu były majątek i pieniądze.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Maszewku

Autor: Agnieszka Suszko

Tytuł: Legenda o dębie Arkadiuszu w Ulini

Był spokojny wieczór. Na horyzoncie widać było piękne, żarzące się odcieniami złota i szkarłatu zachodzące słońce odbijające się od powierzchni wyjątkowo spokojnego morza. Raz po raz błyskało światło z latami morskiej Stilo. Tylko gdzieś w oddali słychać było dźwięki wydawane przez odbijające się od ziemi kopyta galopującego konia.

Na koniu galopował Arkadiusz, ubogi lęborczanin o ciemnych włosach i równie ciemnych oczach, przypominających z barwy korę drzewa. Nie miał nic oprócz paru łachmanów, swojego konia Jesionka oraz miłości przepełniającej jego serce - miłości do pięknej Ewy, tajemniczej dziewczyny znad morza. Nie wiedział nic o jej pochodzeniu. Gdy pytał ją, gdzie mieszka, ona tylko parskała śmiechem i mówiła:

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. I zmieniała temat.

Mimo tego, chłopak kochał ją. Była dla niego jak chleb dla ciała, jak ukojenie dla duszy, niczym wolność dla ptaka, odpoczynek dla zmęczonego. Była kimś, komu mógł się zwierzyć, zdradzić swoje sekrety, powierzyć swoje radości i smutki. Zajęła prawie wszystkie jego myśli. Nie mógł sobie wyobrazić, że mogłoby zabraknąć Ewy w jego życiu. Po prostu nie mógł.

Ewa była dziewczyną o bladej jak śnieg cerze, lśniących, powiewających nawet przy niezbyt porywistym wietrze blond włosach oraz przenikliwych, zielonych oczach. Gdy Ewa patrzyła na Arka, jemu zdawało się, że dziewczyna już wszystko o nim wie. Wie, co składało się na jego skromne śniadanie, których strażników minął przy bramie miasta, którą drogą dotarł do niej...

Jesionek zatrzymał się, gdy kopyta konia zetknęły się ze złocistym piaskiem przykrywającym plażę. Arkadiusz zszedł z siodła i zapatrzył się w morze. Stąd morze wyglądało jeszcze piękniej - wyglądało zupełnie tak, jakby słońce zaraz miało w nim utonąć i rozpłynąć się, pozostawiając jedynie maleńkie, szkarłatne i złote drobiny. Lecz to nie morze ani słońce przykuło jego uwagę, tylko dziewczyna w skromnej, białej sukni, z nagimi stopami zamoczonymi w tafli wodnej, uśmiechająca się radośnie.

To była Ewa, kiedy tylko zobaczyła lęborczanina, podbiegła do niego i wpadła w jego objęcia.

- Tak bardzo tęskniłam! - powiedziała. Jej głos był słodki i melodyjny, zupełnie jak pieśń grana przez wędrownego grajka, ale również tajemniczy i uwodzicielski. - Tęskniłam mimo tego, że od naszego spotkania minął tylko dzień!

- Ja też tęskniłem - odrzekł cicho. Arek nigdy nie podnosił głosu w towarzystwie dziewczyny, traktował ją jak ptaszka, którego łatwo spłoszyć.

Ewa spojrzała chłopakowi prosto w oczy. Widać było, że jest zaniepokojona,

- Coś się stało? - zapytał Arek.

- Będę musiała cię opuścić... Na dłuższy czas, ale nie martw się, wrócę - odparła smutno. Młodzieniec poczuł się, jakby ktoś wbił mu nóż prosto w serce, „Nie, nie, to niemożliwe. To nie może być prawda...” - powtarzał w myślach. Przecież jego ukochana nie mogła tak po prostu go teraz opuścić! W duszy Arka wszystko zaczęło się przewracać, poczuł nieznany mu dotąd lęk przed stratą. Skoro nie miał nic wartościowego, nie bał się tego utracić. Aż do teraz - miłość była wszystkim, co miał, ważniejsza nawet od najpiękniejszych klejnotów całego świata. Po prostu nie mógł uwierzyć, że rozstanie będzie musiało kiedyś nastąpić!

Chłopak nie był w stanie nic powiedzieć. Na szczęście, Ewa najwyraźniej to zrozumiała i sama kontynuowała rozmowę;

- Nie zamartwiaj się jednak. Wrócę do ciebie - powiedziała cicho. - Jednak będziesz musiał mi coś obiecać. Tymczasowe rozstanie to trening wytrwałości. Przyrzeknij, że będziesz, jak dawniej, codziennie wypatrywał mnie pod latarnią. Jeśli dotrzymasz słowa, to będziesz przy mnie kiedy powrócę.
Arek pomyślał przez chwilę. Wizja, że miałby codziennie przychodzić, nie wydawała mu się niczym skomplikowanym. W końcu przychodził tu codziennie! Bez wahania, położył rękę na piersi i rzekł:
- Przysięgam.
Ewa spojrzała na chłopaka z satysfakcją. Jednak Arkadiusz czuł, że to nie jedyna rzecz, którą będzie musiał przyrzec. Tak, jak zakładał, Ewa położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała prosto w oczy.
- Jest jeszcze coś, co będziesz musiał mi obiecać. - zaczęła - Mężczyźni bywają zmienni niekiedy nie potrafią oprzeć się pokusie i powierzają swoje serce innej kobiecie. Rozstanie niech będzie dla ciebie treningiem stałości uczuć. Przysięgnij, że kiedy wrócę, twoje serce dalej będzie moje, że nie pokochasz innej kobiety. Jeśli dotrzymasz słowa, nic nie stanie na przeszkodzie, byś mnie znowu ujrzał.
Ponownie Arek zastanowił się przez chwilę. „Czy mógłbym porzucić Ewę i pokochać kogoś innego? Nie, z pewnością nie..." - pomyślał. Był tego pewien, jak tego, że następnego dnia znowu wzejdzie słońce. Ponownie położył rękę na piersi i rzekł:
- Przysięgam.
Oczy Ewy zaiskrzyły. Podwójna przysięga była czymś, co z pewnością utwierdziło ją w przekonaniu, że Arek nie zapomni o niej.
- Wiesz jednak, na co przed chwilą się zgodziłeś? - zapytała niepewnie. - Łamiąc przysięgę, złamałbyś naszą miłość. Masz tego świadomość?
- Oczywiście - odparł. - Póki słońce na niebie nie przestanie wschodzić, póki gwiazdy i księżyc nie schowają się na wieki, ty wiesz, że nie zapomnę o tobie - po tych słowach, objął ją.
Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo.
- Zobaczymy - powiedziała. - Żegnaj! - dodała jeszcze i odeszła.
Załamany spojrzał jeszcze raz w tę stronę, w którą odeszła dziewczyna, a kiedy pojął, że nic tu po nim, dosiadł swojego konia i odjechał.

***

Mijały dni, tygodnie, miesiące... Każdego dnia Arek zajmował się swoimi codziennymi sprawami. Do jego domu co jakiś czas tajemniczy darczyńca donosił sakiewkę z pieniędzmi, więc chłopaka było stać na wyżywienie siebie i Jesionka. Czas poświęcał jeździe konnej, bo tylko w tym zajęciu odnajdywał ukojenie dla swoich niespokojnych myśli krążących wokół Ewy. Arkadiusz pamiętał jednak o złożonej obietnicy i każdego wieczoru pojawiał się na plaży, przy latami morskiej Stilo i wpatrywał się w szkarłat zachodu, mając nadzieję, że niedługo ujrzy ukochaną. Jak dotąd, jeszcze nie dała żadnych oznak życia.
Los chciał, by Arek znalazł się pewnego dnia w jednej z okolicznych wsi. Gdy zatrzymał się przy rzeczce, by napoić Jesionka, z kieszeni wypadła mu niewielka muszelka - jedyna pamiątka po tajemniczej blondynce znad morza. Ofiarowała ją mu tego dnia, gdy po raz pierwszy młodzieniec zapytał ją o pochodzenie. Kiedy już miał się schylić, by podnieść zgubę, coś go powstrzymało. A raczej ktoś. Jego oczom ukazała się przepiękna dziewczyna, piękniejsza nawet od Ewy. Miała oliwkową cerę, czarne jak heban włosy, błękitne oczy i czerwone jak zachodzące słońce usta. Ubrana była w okazałą, zieloną suknię z falbanami. Gdy Arek tylko spojrzał na tę piękność, oniemiał i zapomniał, czego szukał.
- Co pana sprowadza w te okolice? - zapytała dziewczyna
Arkadiusz był pewien, że nie wykrztusi ani słowa. W końcu jednak opamiętał się i rzekł:
- Jestem Arkadiusz z Lęborka, do usług. Codziennie jeżdżę konno w okolicy i we wsi i zatrzymałem się, by napoić mojego konia.
Młoda dama wydała się Arkowi wyraźnie zainteresowana. Nic dziwnego, że kontynuowała rozmowę.

- Z Lęborka? No, proszę, w końcu to niedaleko. Ja jestem Lilianna. Może przyszedłby pan do mojego dworku o zachodzie słońca na kolację? To całkiem niedaleko, na skraju pobliskiego lasu. Chętnie dowiem się o panu czegoś więcej!

Arek już miał przystać na propozycję Lilianny, lecz przypomniał sobie o obietnicy złożonej Ewie i jej przestrodze przed jej złamaniem. Nie chciałby przecież nie dotrzymać danego słowa. Opowiedział więc nowo poznanej dziewczynie o Ewie, a właściwie o tym, że zbyt wiele o niej nie wie i o złożonej obietnicy. Kiedy skończył, Lilianna roześmiała się.

- Powierzył pan serce dziewczynie, o której praktycznie nic pan nie wie? Niezbyt to dobra kandydatka na wybrankę serca. Poza tym, nic się nie stanie, jeśli jeden raz nie uda się pan pod latarnię. Jeśli ona pana kocha, to z pewnością zaczeka, nie mam racji?

Z początku serce Arka buntowało się. Gdzieś w głębi duszy narastał głos mówiący „Nie zgadzaj się! Przecież obiecałeś! Jednak ten głos został przyćmiony przez inny, mówiący „Przecież nic się nie stanie, jeśli raz pójdziesz na kolację!". W końcu zgodził się na posiłek u pięknej Lilianny.

O zachodzie słońca zjawił się w dworku. Dziewczyna przywitała go ciepło i zaprowadziła do okazałej jadalni, gdzie przygotowana została równie bogata kolacja. Arkadiusz jeszcze nigdy nie miał okazji zjeść tak pysznie przygotowanego dania! Wraz z nowo poznaną dziewczyną rozmawiali aż do rana - a to o ich pochodzeniu, życiu, o tym, kto ich zdaniem jest najlepszym lęborskim mleczarzem i o innych sprawach.

Wychodząc z domu pięknej brunetki, Arek przypomniał sobie o Ewie i złożonej obietnicy. Wiedział, że możliwe, iż dziewczyna znowu się nie pojawiła, jednak wolał zrekompensować swoją nieobecność wieczorem stawił się na miejscu. Bez chwili namysłu dosiadł więc Jesionka i pogalopował w kierunku morza i latarni Stilo. Chłopak galopował tak szybko, jak tylko potrafił jego koń, a kiedy pojawił się pod latarnią, słońce zdążyło już wzejść i całkowicie oświetlić okolicę swoimi ciepłymi promieniami. Arek zszedł z konia i pobiegł w kierunku fal, gdyż zdawało mu się, że zauważył ukochaną blondynkę. Dziewczyna, jak przy ich ostatnim spotkaniu, moczyła bose stopy w wodzie. Jedyną różnicą było to, że Ewa nawet nie odwróciła się do niego. Podśpiewywała cicho, ale wyraźnie:

Kto przysięgi nie dotrzyma, tego życie się nie ima.
W drewno zmienię jego kości, nie zaspokoi mojej złości.
Włosy w liście się zamienią, jego usta skamienieją,
oczy światła nie zobaczą i złym losem nie zapłaczą.
Oto kara za pragnienie mej miłości
i za obietnicy złamanie nie zaznasz litości!

W duszy Arka pojawiła się myśl „Czyżby ta dziwaczna pieśń dotyczyła właśnie mnie?". Miał jednak nadzieję, że uda mu się uspokoić Ewę. Chociaż z drugiej strony, co takiego mogła mu zrobić prosta dziewczyna znad morza?

- Ewo! - zawołał.

Dziewczyna odwróciła się. Jej oczy kipiały złością, usta wykrzywiła w okropnym grymasie. Na jej twarzy nie pozostało ani cienia dawnej miłości.

- Cóż znaczy ten uśmiech? I ta piosenka? - zapytał przerażony.

Ewa uśmiechnęła się perfidnie.

- Nie pojawiłeś się o zachodzie słońca - jej głos brzmiał niczym syk jadowitej żmii. - Wiem, że przychodziłeś tutaj codziennie, tak jak cię o to prosiłam. Obserwowałam cię z ukrycia. Tym razem jednak ja czekałam, a nie było cię tu. Zdradziłeś mnie! Złamałeś przysięgę! - krzyknęła.

- Kochanie, ty nic nie rozumiesz! To była tylko kolacja! - chłopak zaczął się tłumaczyć. - Skąd mogłem wiedzieć, że akurat tego wieczoru się pojawisz!

Nagle doznał olśnienia. Przecież Ewa widziała go tutaj codziennie, czyli nigdzie nie odeszła! Czyli to miała być tylko próba, test wytrwałości, jak sama mówiła. Gdzie jednak była przez ten czas, skoro nawet jej nie zauważył?

- Kim jesteś? - Arkadiusz był teraz w stanie wypowiedzieć tylko to pytanie.

- Jestem nimfą Bałtyku! - powiedziała, a jej głos rozniósł się echem po całej okolicy.

Nie wiedząc, co robić w tej sytuacji, Arek zaczął uciekać. Jednak nimfa Bałtyku kontynuowała.

- Złamałeś przysięgę i tak, jak cię uprzedzałam, poniesiesz konsekwencje. Twoje nogi zamienią się w korzenie. Twoje ręce - w gałęzie. Włosy rozrosną się i staną się zielonymi liśćmi. Nic już nie zobaczysz, nic już nie powiesz. Jedynie wiatr będzie kołysał twoimi liśćmi, jak mu będzie się podobało. Nie uciekniesz przed karą!

Nagle zerwał się ogromnie porywisty wiatr, który porwał Arka. Biedny chłopak zaczął frunąć, miotany siłami natury. Kompletnie stracił rachubę, w którą stronę leci - czy to na północ, a może na zachód. Próbował złapać się mijanych drzew, byle tylko nie lecieć dalej. Niestety, bezskutecznie.

W końcu wiatr ucichł. Arek upadł na ściółkę wyścielającą las. Gdzie był i który to był las - nie wiedział. Kiedy chłopak spróbował wstać, jego ciało ani drgnęło. Jak zaśpiewała i powiedziała mu nimfa, jego tułów stał się korą, nogi konarami, a ręce i głowa rozgałęziły się i utworzyły szeroką koronę. Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Widział jedynie ciemność. Wkrótce nawet przestał myśleć. Arkadiusz stał się dużym, okazałym dębem.

Ten dąb można zobaczyć po dziś dzień w Ulini. Nazwany został Arkadiusz i pewnie już wiecie, dlaczego. Zastanawia mnie jednak, czy ktoś widział przemianę młodego lęborczanina w drzewo, czy może maleńki wróbelek podpowiedział pewnemu botanikowi na ucho imię , Arkadiusz". A może ktoś poznał nimfę Ewę i to ona podpowiedziała, jak nazywa się to drzewo? Nie wiem...

Legendę ilustruje:

AZYMUT Niepubliczna Szkoła Podstawowa w Mostach

Autor: Magdalena Kubiak

Tytuł: Deus protector meus - legenda o szlachetnej Margarecie z Łeby

Było to zaraz po tym, jak Łebę nawiedziła zaraza, gdzieś koło roku pańskiego 1781. Jeszcze burmistrzem nie został szanowany Wilke, a nowęcińskie dobra dopiero co znalazły nowego właściciela - wielmożę charbrowskiego, Heinricha von Somnitza.

Nie były to, oj nie były, lata mlekiem i miodem płynące dla tutejszych ludzi morza. Co rusz nowy sztorm dotkliwie wyszarpywał kawałki wrażliwego brzegu, niszcząc nielitościwie to, co ludziska tak z wielkim trudem wybudować zdołali. Olbrzymie siły i moc talarów wydając, w ciągu dwóch lat zdołali własnym sumptem i harówką od świtu do nocy wykopać szeroki kanał, co to miał dać początek nowemu szlakowi wodnemu między Jeziorem Łebsko a Bałtykiem. Jednakże bezwzględna przyroda rychło zniszczyła wodny przekop, tak że zrozpaczonym mieszkańcom nie pozostało nic innego, jak zasypać już całkiem zrujnowaną budowlę.

Do tego jeszcze nadciągnęło morowe powietrze, które mimo błagalnych modłów przez łebian wznoszonych, co od powietrza, głodu, ognia i wojny miały ich ochronić - zbierało swe śmiertelne żniwo. Nie brakło wśród pobożniejszych, na czele z pastorem, głosów - że to kara boża za niecne postępki niedawnych wszakże przodków łebian, co to bez pardonu, goniąc za własnym zyskiem i słuchając podszeptu chciwości, grabili rozbite na sztrądzie okręty, bogacąc się na biedzie rozbitków. Miałażby też to być kara Bożej Opatrzności także i za mnogość zabobonów zakrapianych gorzałką, które z dawien dawna krzewiły się wśród tubylców, o czym ze wstydem jeszcze parę lat temu donosił kościelnym zwierzchnikom świętej pamięci dawny łebski pastor Scheer? Tego wykluczyć sięgnie dało.

Ludziskom niemiło było zatem uśmiechać się do siebie, raczej trwożliwie spoglądali dookoła, uciekając w panice przed morowym powietrzem. Mało kto bowiem spośród mieszkańców nie stracił kogo bliskiego lubo sam zachorzał, ledwo się od kostuchy uwalniając. Chałupy szczelnie zamykano, okiennice na amen zagwożdżono z obawy przed wszędobylskim pomorem. Nierzadko - bywało - znajdziesz na bruku leżące ciało, które trza jednako rychło pochować, nim zaraza zbierze większe żniwo. Chcąc nie chcąc, najwięcej roboty mieli w tym czasie grabarze i miejscowy pastor, któremu należało za pochówek dać trzy złote talary, co kwotą było niemałą dla wielu spośród łebian. Wszędy słychać było tylko bicie dzwonów i smętne pomruki zawodowych płaczek przykościelnych, które z zapamiętaniem wołały *memento mori*. Łebianie nie skąpili jednakże grosza na uczciwy pogrzeb najbliższych, gorliwie dochowując wszelkich sakramentów i przypisanych podówczas obyczajów. Snadź wiadomo było powszechnie, że jeśli nie przygotujesz człeka do wędrówki niebieskiej, nie dopatrzysz przyśmiertnych nakazów, nie obleczesz go w zgrzebną szatę ani nieboszczykowi pajdy chleba, ni miejscowej okowity do skrzynki trumiennej nie włożysz, a modlitwą szczerą wieczystą nie pobłogosławisz w ostatniej godzinie jego na ziemskim padole, toć ostanie ci on na wieczystej drodze tułacz między światy, jak na rozstaju dróg zagubiony, gdzie złe mieszka. A taki spokoju w rajskim wirydarzu ni zbawienia duszy zaznać nie ma prawa.

Czuwano zatem gorliwie przy swoich zmarłych, grosza nie skąpiono, mimo narastającej wśród łebian niedoli. Widno wiedziano zasię, że jutro - pojutrze spotkać taki sam los ich samych wszak może.

***

Margareta niepewnym wzrokiem obrzuciła ciemniejące zaułki wąskich uliczek, ciągnących się wzdłuż morskiego brzegu. Musiała rychło znaleźć się na południowych rogatkach miasteczka, zanim słońce całkiem ugasi swoje promienie, ustępując miejsca listopadowemu mrokowi. Obiecana przez miejscowego balwierza mikstura, którą miał przygotować na dziś wieczór za trzy ostatnie złote tatary, które Margareta wyskrobała glinianego garnca w piwnicy, nie chroniła co prawda przed zarazą, ale dawała ulgę schorzałemu ojcu, który

nie zstępował z łóżka już od dwóch niedziel. Siódmy krzyżyk miał już na karku, a sił ubywało i jak małego oseska trza go było dokarmiać już to mlekiem z miodem, już to maczanym chlebem. Dziewczyna z trwogą wyglądała następnych dni choroby. Bieda zagościła na dobre w maleńkiej izdebce, którą dzieliła po śmierci matki od kiedy osiemnastą wiosnę skończyła z dobrym ojcem, aż z nagła z nóg nieznaną chorobą zwalony na połów nie mógł już sam wypływać.
Postanowiła więc, że zamówi drogie lekarstwo u łebskiego balwierza, który nie tylko urządzał regularne postrzyżyny miejscowym chłopom, ale i pijawki umiał snadnie przykładać i od uroku znał ochronne zaklęcia Zatem - choć za usługi cyruliczne kazał sobie, jako jedyny z tego cechu w miasteczku, wielce słono płacić, cieszył się wśród łebian niezwykłą estymą.
Szła tedy drobna dziewczyna, opatulona zgrzebną chuściną, co nijak nie chroniła przed łebskim wietrzyskiem. Trwożnie rozglądała się pośród opustoszałych zakątków Łeby, a droga czekała ją długa. Musiała przejść głównym traktem aż do pierwszego rozstaja dróg na Nowęcin, gdzie od wieków stał pręgież dla wszelkiej maści tych, co już to srogie nakazy brandenburskie mieli za nic, już to na niewierności małżeńskiej zostali przydybani, już to zwyczajnie podatków nie mieli z czego lub nie chcieli opłacać.
Powszechnie wiadomym było - na każdym rozstaju, a już na takim, co ku cmentarzowi prowadzi, to rzecz pewna, że złe mieszka i aby go uniknąć, należy uzbroić się w modlitwy oduroczne i diabłu nieczystemu przeciwdziałające.
Nijak nie można było tegoż skrzyżowania ominąć, chcąc dostać się do zasobnej chaty balwierza, więc szła tedy dziewczyna z duszą na ramieniu, powtarzając sobie w duchu zdrowaśki, żywej duszy na łebskim bruku nie dostrzegła, tylko cienie małych chat rybackich, gdzieniegdzie poprzetykanych już to piekarnią z piecem chlebowym, już to zakładem szewskim czy domem szkutnika. Tylko pies jakowyś skądś naszczekiwał, to znów robiło się upiornie cicho, co niechybnie oznaką było, którą jeszcze jej prababka dawno temu powiedziała, że gdzieś wtedy blisko jakowaś dusza ludzka odejdzie w zaświaty.
Mijając solidny dom z wyraźną datą u góry nad oknami, przeczytała, z trudem sylabizując: "Bóg jest moim obrońcą i wspomożycielem. Panie, nie opuszczę Cię, Ty mnie przecież błogosławisz. Johann Mampe” -18 lipca 1723.
Przeżegnana się, szepcząc nabożnie:
- I mnie Panie, biedną wspomóż w niedoli. Pobłogosław memu tatusiowi, by rychle wyzdrowiał
Zaraz za domem konsula Mampego na Hauptstrasse dostrzegła zbiegowisko.
- Kie licho? - pomyślała zdziwiona, zapominając na chwilę o strachu.
Odkąd Łebę nawiedziła zaraza, po zmroku rzadko który z mieszczan opuszczał domostwo, czekając na pierwsze promienie słońca wśród bliskich, aż ziemia znów przyjazną się stanie, gdy noc końca swego dobiegnie. Na przekór temu zwyczajowi oczom jej ukazała się ciżba ludzka, która wśród pochodni szumiała jak w ulu. Już z daleka słychać było gniewne pokrzykiwania
- Do piachu z nim!
- Wynieśmy go z granic miasta!
- Sam sobie go wynoś, jeśli Ci życie niemiłe!
- Ktoś go zna?!
- Nie nasz jest jakiś, ja mu pochówku opłacać nie będę!
- Rada miejska opłaca tylko tutejszych!
Rozgorączkowany tłum otoczył ciało nieboszczyka, który leżał na bruku oświetlony ogniem pochodni. Nikt jednak z zebranych z obawy przed morowym powietrzem nie miał ochoty zbliżyć się doń, by go podnieść na przygotowany dwukołowy wóz ciągnięty zazwyczaj przez dwóch strażników miejskich. Ci, widać, nie kwapili się do podniesienia, czekając na rozkazy członków rady. Ciało zasłonięto białą płachtą.
- Chrześcijański pochówek kosztuje trzy złote talary - starał się wytłumaczyć zebranym jeden z rajców.

- To sam go opłać. My podatki płacimy tylko na naszych, a ten jest obcy.
- Prawda! Obcy jest! Pewnie wcale nie krześcianin,
- Po zarazie kasa miejska jest pusta, musimy najpierw zrobić dodatkową zbiórkę po mszy niedzielnej, wtedy urządzi się mu pogrzeb - rajca nie dawał za wygraną.
- Na moje talary nie liczcie. Za granicę miasta z obcymi!
- Już 10 pogrzebów w ostatnich dwóch tygodniach było. Ledwo nastarczamy swoich chować.
- Do niedzieli z pochówkiem czekać, aż się pomór rozniesie? Niedoczekanie!
Rajcy stali bezradnie. Nagle wśród tłumu pojawiła się Margareta. Nic nie mówiąc, wręczyła rajcom trzy złote talary, ostatnie, które miała na lekarstwo dla ojca. W ciżbie zapadł dziwny spokój, osłupiali patrzyli na dziewczynę, jak zbliża się do płachty z nieboszczykiem, czyni mu znak krzyża na czole i błogosławi w modlitwie za zmarłych.
Wstyd się zrobiło łebianom. Bunt ucichł, jakby go kto mieczem uciął o listopadowym zmroku. Znali przecież ojca Margarety, wiedzieli, jak ciężko jest dziewczynie i że znikąd nie ma ona pomocy. Zdjęli czapki, pochylili głowy i zgodnym chórem wznieśli szczere modły za zmarłego, a potem wraz ze strażnikami i rajcami skierowali się w stronę kaplicy, aby w towarzystwie pastora pochować zmarłego na miejskim cmentarzu.
- Cóż ja teraz pocznę? - myślała tymczasem dziewczyna. - Za co kupię tatusiowi lekarstwo? Może balwierz zlituje się nad moją niedolą?
Pochlipując pod nosem, już kierowała swe kroki w stronę zasobnej chaty cyrulika, gdy usłyszała za sobą:
- Chodź ze mną, szlachetna Margareto.
Dziewczyna odwróciła się nagle. Była tak zdumiona, że nie zdążyła nawet spytać, skąd nieznajoma postać zna jej imię.
- Chodź ze mną - w zakapturzonej osobie Margareta nie mogła dostrzec twarzy, jednak było coś w głosie nieznajomego wędrowca, co kazało bezzwłocznie podążać za nim.
Skręcili oboje w stronę drogi nowęcińskiej. Tajemnicza postać stanęła przed chatą, z pozoru taką, jakich wiele rybackich chat było wówczas w Łebie: niską, z drewnianych belek ocieplonych mchem i gliną, ogaconych na dachu trzciną zebraną na jeziorze Sarbsko. Wyróżniały ją jednak drzwi z rzucającą się w oczy mosiężną kołatką w kształcie psa, której Margareta nigdy jeszcze w życiu nie widziała. Przysięgłaby, że tej chaty nigdy tam wcześniej nie było.
- Zastukaj kołatką trzy razy - usłyszała głos za plecami.
Posłusznie, bez słowa sprzeciwu, chwyciła za kołatkę.
Buch, buch, buch - rozległo się głuche dudnienie, a zaraz po nim wysunęła się ręka z małym zawiniątkiem
- Weź woreczek, schowaj go głęboko i nikomu nie pokazuj. Wracaj do domu, ojciec na ciebie już czeka - dziwna postać nadal pozostawała w ukryciu, nie zdjąwszy ni razu kaptura
Margarecte odjęło mowę ze strachu, pokiwała tylko głową na znak posłuszeństwa i poszła w stronę wybrzeża, gdzie znajdowała się chata rybacka jej ojca.
Po kilku krokach odwróciła się jeszcze w stronę drogi nowęcińskiej. Wiatr grał swoje melodie wśród pobliskich wierzb, z daleka widać było pochodnie rybaków ciągnących na pogrzeb. Mroczny księżyc sennie płynął wśród hebanowych chmur. Po tajemniczej postaci nie było ani śladu. Margareta przeżegnała się pobożnie trzy razy, szepcąc słowa z belki domu Mappego: „Deus protector meus - Bóg moim obrońcą" i pobiegła z powrotem.
W domu czekał na nią zdrowy ojciec. Padli sobie w ramiona i cieszyli radością małych dzieci. W zawiniątku Margareta znalazła trzy złote talary, których odradzająca moc pozwoliła im od tej pory nie zaznać nigdy biedy. Po tajemniczej chacie na nowęcińskiej drodze ani po drzwiach z psią kołatką nie zostało ani śladu. Szlachetna Margareta nigdy jednak nie zapomniała o tajemniczej postaci, która jej pomogła, w dzień zaduszny wspominając modlitwą zmarłego wędrowca.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Nowej Wsi Lęborskiej

Autor: Zuzanna Jereczek

Tytuł: Legenda o lęborskich żabkach

Był wieczór, zapalono uliczne latarnie. W małym domku przy ulicy Warszawskiej rozpalono w kominku.
- Mamo, opowiesz nam bajkę?
- Uważam, że jesteście już za duże na bajki. Opowiem wam legendę. Wiecie co to legenda?
- Ja wiem! Legenda to taka bajka, w której jest ziarnko prawdy. Pani w szkole nam to wyjaśniła.
- Zgadza się. Ale pewnie nie znacie legendy o lęborskich żabkach? Tych, obok których przechodzimy w drodze do babci i dziadka.
- Nie... nie znamy. Opowiesz nam?
- Oczywiście. Otóż legenda mówi, że kiedyś nie było żabek. Była tylko fontanna. Kazał ją wybudować burmistrz Lęborka, ale to inna historia.
Wiele lat temu na odpust do Lęborka przyjechał panicz z bardzo daleka. Był bogaty i bardzo przystojny. Gdy przechadzał się po ulicy Staromiejskiej jego uwagę zwróciło osiem dziewcząt rozmawiających przy fontannie. Dziewczęta były siostrami i przyjechały z pobliskiej wsi wraz z ojcem na odpust. Po stroju panicz poznał, że są Kaszubkami. Każda miała na sobie czerwoną spódnicę za kolana, czerwony gorset związany złotą wstążką i śnieżnobiały fartuszek w czerwone, żółte i niebieskie kwiatki. Ich długie, jasne włosy zaplecione były w staranne warkocze, a na głowach miały wianki uplecione z polnych kwiatów.
Panicz spędził z nimi całe popołudnie. Dziewczęta opowiedziały mu dużo o okolicy, pięknych lasach pełnych dzikiej zwierzyny i jeziorach pełnych ryb. Z zachwytem w głosie opisywały taflę wody czystej, jak letnie niebo, słoneczne pagórki i zacienione doliny, romantyczne zachody słońca, oraz morze... Z jednej strony bezkresne i piękne, o szmaragdowej wodzie i delikatnej, spokojnej fali, z drugiej strony niebezpieczne, groźne i nieprzewidywalne podczas burzy i wichury.
Panicz słuchał tych opowieści z zapartym tchem i zakochał się w tej cudownej krainie i uroczych dziewczętach. Nazajutrz zapragnął ponownie zobaczyć piękne panny i posłuchać ich opowieści. Poprosił o spotkanie przy fontannie. Cały wieczór siostry kłóciły się o to, którą z nich młodzieniec będzie chciał wziąć za żonę, a on czuł, że jest zakochany, ale nie wiedział, w której z sióstr.
W drodze do miejsca, w którym nocował ujrzał księżyc.
- Och, cóż mam począć, skoro nie wiem, którą siostrę wybrać? - spytał sam siebie.
W nocy przyśnił mu się bardzo dziwny sen. Stał przy fontannie razem z pięknymi Kaszubkami. Nagle wszystkie przemówiły jednym głosem:
- Musisz się zdecydować... Musisz podjąć decyzję...
Wtem głos umilkł, a siostry przeszły przerażającą przemianę. Ich skóra stała się oślizgła i zielona, a włosy chowały się w głąb czaszki, między ich palcami pojawiły się błony, a one same zmalały. Po chwili zamiast pięknych sióstr stało przed nim osiem żab. Żaby wskoczyły na fontannę, a panicz usłyszał głos:
- Zdecydowałeś się?!
- Nie... nie wiem.. bił się z myślami.
- Zostaną zaklęte w tej postaci dopóty, dopóki się nie zdecydujesz! - odparł stanowczo tajemniczy głos.
Później rozległ się huk i panicz obudził się zlany potem. Na szczęście to tylko sen - pomyślał i wybrał się na spotkanie z dziewczętami.
Gdy młodzieniec dotarł na miejsce, gorzko zapłakał. Przepowiednia ze snu spełniła się i zamiast ośmiu pięknych sióstr, ujrzał osiem żabek na fontannie i osiem wianków pływających po wodzie. Panicz nie zdecydował się po dziś dzień, a co noc cierpi z powodu krzywdy, którą wyrządził pięknym Kaszubkom.

- To koniec? Czy one na zawsze zostaną żabkami?
- Nie, to nie koniec. Posłuchajcie dalej...
Pewnego dnia przez Lębork przejeżdżała wróżka, ale nie taka, która ma skrzydła i czarodziejską różdżkę, ale taka, która wróży z kart albo z kuli. Wróżka była bardzo mądra i gdy tylko zobaczyła fontannę z żabkami wiedziała, co się wydarzyło.
Zrobiło jej się żal pięknych sióstr, ponieważ one nic nie zawiniły i skupiwszy całą swoją moc sprawiła, że w rok przestępny, 29. lutego o północy powracają do swych ludzkich postaci i stają pięknymi dziewczętami. Niestety jeszcze przed świtem znów stają się na powrót żabami zdobiącymi fontannę na ulicy Staromiejskiej w Lęborku. Taki ich smutny los.
-Ojej!
- Tak, ale teraz marsz do łóżek! Już dawno powinnyście spać.
- Dobrze, ale mamusiu, czy to naprawdę tak wyglądało?
- Któż to wie? Ale z drugiej strony każda legenda kryje w sobie ziarnko prawdy. A teraz, zmykaj. Dobranoc!
Uliczne latarnie wciąż oświetlały ulicę Warszawską, ale w małym domku ogień w kominku powoli wygasał. Za to na ulicy Staromiejskiej dokładnie o północy osiem pięknych dziewcząt ruszyło w swój wyjątkowy tan.

Legendę ilustruje:

Szkoła Podstawowa w Popowie

Autor: Kornelia Krefta

Tytuł: O rybaku i syrenie

Bardzo dawno temu, w niewielkiej osadzie rybackiej, która nazywała się Stilo, zdarzyło się coś niesamowitego. Słońce mocno prażyło piasek. Na wiosennym niebie nie dało się ujrzeć ani jednej chmurki i nic nie zapowiadało, aby pogoda miała się zmienić.

Młody rybak o imieniu Mateusz stwierdził, że okoliczności sprzyjają udanemu połowowi. Przygotował więc sieci, których miał zamiar użyć, wziął ze sobą trochę jedzenia oraz scyzoryk, który brał ze sobą zawsze i wszędzie. Nie raz zdarzało się bowiem, że rybacy z okolic nie wracali z morza nawet cały dzień.

Odcumował swą łódkę i wyruszył. Gdy oddalił się od lądu około dwóch kilometrów, zarzucił sieć po raz pierwszy. Po chwili oczekiwania wyjął ją z wody. Niestety, nie wpadła ani jedna ryba.

Pół kilometra dalej znów spróbował swych sił. Jak się okazało, ani ta, ani wiele następnych prób, nie dały żadnych rezultatów. Chłopak, gdy dotarł już na głębokie morze, a zewsząd nie było widać lądu, odczuł znużenie wielogodzinną pracą. Zjadł więc szybko pajdę chleba ze smalcem. Po posiłku oczy zaczęły mu się kleić. Przez chwilę walczył z sennością, jednak po krótkiej chwili usnął kołysany przez fale.

Sen miał głęboki, długi i spokojny. Słyszał w nim iście anielski głos, delikatny i jedwabisty, który ostrzegał go przed jakimś niebezpieczeństwem. Mateusz wsłuchiwał się weń, gdy nagle zbudziły go przerażające hałasy. Gdy otworzył oczy, nie wiedział, gdzie się znajduje. Ujrzał burzę tak straszliwą, że serce stanęło mu w piersi. Pioruny uderzały coraz bliżej. Rybak rozpaczliwie próbował zapanować nad łódką, jednak na marne, roztrzaskała się o jedną ze skał, a chłopak targany przez fale, starał się utrzymać na powierzchni. Prędko jednak okazało się, że młody mężczyzna nie ma wystarczającej siły w mięśniach i zaczął opadać na dno.

Gdy tracił przytomność, słyszał ten sam piękny głos co wcześniej -"Spokojnie, mój kochany, nie przejmuj się! Zaopiekuję się tobą, obiecuję!", a on, choć nie wiedział kto to, poczuł się bezpieczny. Aż zobaczył kobietę, która objęła go. Była piękna, miała długie, faliste, kasztanowe włosy, duże, bursztynowe oczy i różowe usta. Rybak dziwił się, co robi tutaj, na środku morza.

Kiedy się ocknął, leżał na brzegu. Trwało pogodne popołudnie. Rozmyślał dużo o tym co się mu przydarzyło. Zastanawiał się, czy była to prawda, czy tylko złudzenie.

Po chwili namysłu stwierdził, że choć byłaby to piękna i niesamowita historia, to musi się pogodzić z faktem, iż mu się przyśniła. Jego serce wierzyło, że dziewczyna, którą ujrzał, była prawdziwsza niż on sam, lecz on wolał pójść za głosem rozsądku.

Następnego dnia postanowił wyruszyć na kolejny połów. Nie miał co prawda łodzi, lecz ludzie ze wsi chętnie pożyczyli mu. Gdy oddalił się niedaleko od brzegu usłyszał anielski głos. Spojrzał w dół, a tam zobaczył tę samą piękność, która uratowała mu życie. Dziewczyna zamiast nóg, posiadała ogon.

- A więc jesteś, mój drogi - powiedziała czule, a po chwili dodała - zapewne dziwi cię mój wygląd, może nawet i przeraża...

- Ależ skąd! - odrzekł nagle - Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek w mym życiu widziałem.

- Nazywam się Esta - odpowiedziała zarumieniona - co w języku morza oznacza „światło". Przysyła mnie tu królowa mórz, Jurata. Kazała ona nam, syrenom, chronić wszystkich marynarzy i rybaków przed śmiercią w morskiej toni. I właśnie dlatego chcę prosić cię o pomoc.

- W jakiej sprawie, moja droga?

- Otóż, ja pomagam innym, prowadząc ich na ląd swym śpiewem. Jednak niektóre syreny nie słuchają rozkazu Juraty i zwabiają podróżników w swe sidła, aby plądrować ich statki, lub specjalnie kierują marynarzy na

skały, gdyż cieszą się cierpieniem ludzkim. Jeżeli ktoś w swym życiu spotkał się z taką syreną, zatyka uszy czym tylko może, aby nie ulec ich podstępom.
- A więc powiedz mi, co mam uczynić?
- Gdy wrócisz na ląd, nazbieraj w zagajniku suchego drewna. Gdy nadejdzie zmierzch, rozpal przy brzegu ognisko. Żeglarze będą się bezpiecznie kierować w tę stronę.
Mateusz wypełnił gorliwie polecenie Esty. Ułożył drewno na kształt dużego stożka, a jego brzegi obłożył kamieniami. Wziął krzesiwo i za jego pomocą, gdy zaszło słońce, podpalił konstrukcję. Czekał przez parę godzin, po czym ujrzał niewielką łódkę. Chłopak, który nią płynął, nie widział niczego. Noc była pochmurna, na niebie nie można było ujrzeć ani gwiazd, ani księżyca. Tracił już nadzieję. Panicznie rozglądał się dookoła. Równie dobrze mógł być blisko lądu, jak i na środku morza. Nie wiedziały co robić. W końcu dostrzegł ognisko na brzegu. Uradowany zaczął szybko wiosłować, aby jak najprędzej dotrzeć na plażę. Po krótkiej chwili stał już na piasku i kierował się w głąb wioski.
Następnego dnia Mateusz znów wybrał się na połów, choć bardziej interesowało go spotkanie Esty. Chciał opowiedzieć jej o minionej nocy. Nie zawiódł się, gdyż ona czekała na niego blisko brzegu. Długo rozmawiali. Chłopak opowiedział o rybaku, którego udało mu się uratować, Esta opisywała życie pod wodą, o tym jak cudowne są tam krajobrazy, o królowej Juracie i nieznanych ludziom stworzeniach z głębin.
Mateusz codziennie spotykał się z Estą i co noc rozpalał ognisko na brzegu. Dzięki temu uratował wielu ludzi, a mieszkańcy wsi zaczęli zauważać to i doceniać jego pracę. Między chłopcem a syreną rozkwitło ogromne i prawdziwe uczucie. Jednak ich serca pękały z żalu, gdyż nie mogli żyć na jednym świecie. I tak pewnie by zostało, gdyby pewnego dnia Esta nie powiedziała:
- Mój kochany! Wczoraj pytałam królową Juratę, czy możesz zamieszkać z nami, a ona zgodziła się! Sam Posejdon się zgodził! Wystarczy, że o zachodzie słońca skoczysz wraz ze mną do wody.
Mateusz postąpił zgodnie z poleceniem ukochanej. Gdy tylko się zanurzył, poczuł, jak jego nogi zmieniają się w ogon i pokrywają łuskami. Po chwili mógł również oddychać pod wodą. Zakochana para odpłynęła w głąb morza i żyła długo i szczęśliwie.
Mieszkańcy, wsi gdy zauważyli zniknięcie młodego mężczyzny, zrozumieli, co się stało, gdyż często opowiadał im o pięknej i tajemniczej dziewczynie, w której się zakochał. Było im przykro, że odszedł, ponieważ bardzo go lubili. Praca, którą wykonywał, była bardzo ważna i uratowała wielu osób. Postanowili, że będą ją kontynuować i co noc jeden z nich pełnił dyżur na brzegu, pilnując ognia. Robili tak przez wiele, wiele lat, aż w końcu wybudowano w tej miejscowości latarnię morską, która stoi tam do dziś i przypomina o pięknej historii Mateusza i Esty.